

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 48. Warszawa, dnia 20 Listopada (2 Grudnia) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY			
Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.	OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.	Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —	REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.	NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.
półrocznie . . . „ 3 „ „	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.		
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Galicyi Złr. 11 cent. 50.		
miesięcznie. . . „ „ 50	w Prusach roczn. 24 marek.		



Jeździcy Apokalipsy. — Rysunek Corneliusa.

MŁODZIEŻ SZKOLNA.

Słychać zewsząd utyskiwania i narzekania na dzisiejszą młodzież szkolną. Ludzie starsi pomni „że dawniej lepiej bywało,“ przez mikroskop rozpatrują usterki teraźniejszej generacyi, obwiniając ją o zdemoralizowanie pod każdym względem, o nieuctwo. Zapewne; potrzeba umoralnienia, tak dobrze jak kształcenia młodzieży o której mowa, jest niezbędną i niecierpiącą zwłoki, chociaż co się tycze nieuctwa, chciałbym tu we wstępie zrobić jedną uwagę. Próżniactwo nie jest tak rozgałęzionem jak sobie powszechnie wyobrażają. Roczny procent nie dostających promocyj i patentów, nie może być wcale probierzem, bo w ogólnej tej masie, wielu się trafia takich, którzy mimo żelaznej, „kowalskiej“ jak nazywają uczniowie pracy, nie mogą podążyć za szczęśliwszymi, z przyczyny, że nie otrzymali należytego początkowego uzdolnienia.

Ale nie o próżniactwie będę mówił w artykule niniejszym, radbym raczej wykazać w nim istnienie zła między młodzieżą szkolną, jego rozmiary i potęgę, skutki stąd wypływające wreszcie źródła, pobudki i przyczyny onegoż.

Skończywszy ledwie lat temu parę gimnazyjum, zostaję i teraz jeszcze pod wrażeniem i wpływem nędzy moralnej, jaką zapamiętałem, a może i wyniosłem stamtąd. Przechodzi tam ona fazy rozmaite i potęguje się w miarę rozwinięcia ciała i umysłu. Zacznijmy *de capo*

Dzieciak, wypuszczony świeżo z pod opieki rodziców, a głównie z pod oka matki, z pewnym rozumie się zadatkiem zasad moralnych, zjawia się naraz między towarzyszami różnorodnych pojęć, którzy chociaż nie są jeszcze rozsadnikami złego (bo także niedawno wyszli z pod strzechy rodzinnej), są jednak zbiorowiskiem złego i dobrego. Złych jest zawsze więcej, więc wpływy ich są potężniejsze. Dzieciak wpuszczony do takiego zgromadzenia, gdy trafi na złych koleżków, choćby był sam najlepszym, jeżeli zasady dobre nie są weń trwale wpojone, nie potrafi się ustrzedz złego, nie potrafi go ominąć. Cóż z tego wynika? Oto, że dziecko dobre pod opieką i okiem rodziców, teraz nie krępowane ich nadzorem i obecnością, dopuszcza się niektórych wykroczeń, ze względu na tak zwane „koleżeństwo“ i przykład; dziecko zaś już złe poprzednio, brnie dalej, znajdując dla siebie otwartą i powabną drogę. Taki chłopiec (biorąc za jedno szkołę i więzienie, książki i kajdany), opuszcza się w naukach, marnotrawi czas, praktykuje różnorodne głupstwa, małpuje starszych, uczęszczając do szynków (alias knajp) i ćmiąc papierosy. Czynność ta odbywa się tak na stancyjach wraz z koleżkami, jak w samych zakładach, w miejscach mało dostępnych dla zwierzchników a odbywa się codziennie, po przedzwonieniu na zmianę lekcyj. Często nawet starsi podczas wykładów wymykają się pod różnymi pozorami, aby się tylko „zaciągnąć,“ bo to w obec „smyczków“ pewną im wyższość nadaje. Nie chcąc być gorszymi dzieciaki 9-cio i 10-cio letnie, kurzą też papierosy, a ta bezmyślna, mechaniczna praktyka w nałóg przemienia się w końcu. Zdawać się może bagatelką, to wykończenie a jednak ciągnie ono za sobą, długi szereg następstw gorszych daleko. Na papierosy idzie grosz, na jaki szkolny młodzieniaszek rzadko sam potrafi zapracować. Zwykle nawet ten, co go zapracuje, nie zmarnuje; go tak łatwo ale tysiące jest takich, co właśnie dla tego tak ulatniają z dymem pieniędzy, że nie znają ich wartości: dostają je od łatwowiernej mamuni lub szczodrego ojczulka, na rachunek kajetów, książek i innych potrzeb niby szkolnych. Tak więc niewinna z pozoru rzecz, papierosy, to owe łyczko od którego i do rzemyczka nie trudno. Inaczej tego nie można nazwać. Czyż dzieciak popełni kradzież wtedy dopiero gdy pokryjomu wyciągnie pieniądze z portmonetki lub biórka rodziców? A i o takie wypadki nie będzie trudno wtedy zwłaszcza, gdy inne sposoby nie poskutkują. Czyż nie jest to kradzieżą kiedy synek dopuszcza się kłamstwa a więc oszustwa, aby wyłudzić pieniądze od ojca?

Im dalej w las, tym więcej drzew. Postępując od niższych do wyższych klas szkolnych, spotykamy coraz to większe brudy, coraz na większą skalę i w większej ilości, słowem więcej zdemoralizowania. Dzieciaków w niższych klasach trzymały jeszcze na wodzy zasady moralne z domu wyniesione, surowość rodziców lub opiekunów. U starszych poszło to już w poniewierkę; w miarę rozwijania się złego, inwencyja młodzieniaszka znajduje na wszystko środki w skrytej, machiawelskiej polityce. Tak np. wycieczki z domu tłómaczą się wspólną nauką z kolegami; potrzeba pieniędzy, najrozmaitszymi wydatkami szkolnymi: to na książki, kajety, na improwizowane składki dla biednych, pogorzelców i t. p. Próżniactwo nawet potrafi się zasłonić do czasu przed okiem rodzica, cenzury kwartalne ulegają ulepszeniom i przemianom w ręku *ad hoc* specyjalnych mistrzów. Oszukanych rodziców wodzi się tym sposobem przez ciąg całego roku; dopiero na końcu, po ostatecznym egzaminie, winę całą zwala się na profesorów, na niefortunne losy i t. p.

Powyższym nadużyciom można po części zaradzić przez sprawdzanie t. z. stopni w księgach czyli dziennikach szkolnych, które dla rodziców i w ogóle dla wszystkich są dostępne. Zdarzają się jednak i tacy między przemysłowcami szkolnymi, którzy fałszerstwo i tam zastosowują. Widziałem na własne oczy, jak tacy artyści *sui generis*, w przytomności całej klasy, po za plecami profesora, sami wpisywali sobie i drugim stopnie do dziennika, mimo ścisłości rubryk tam się znajdujących, i odwrotnego położenia. Patrząc na to, wszyscy byliśmy tolerantami nadużycia ze względu na tak zwane „koleżeństwo,“ a powtóre dla tego, iż wielu z nas było także w tej operacyi interesowanych.

Kontrola i nadzór dla tych starszych uczniów nie egzystują wcale. Takie rzeczy jak to, że w czasie lekcyj, w czasie wykładów profesora, można po za parawanem z koleżeńskich pleców lub pod ławką usiadłszy na podłodze, zasypiać spokojnie, albo co gorzej, grać w karty nie są odosobnionem zjawiskiem.

Jedni zarażają drugich i wywiązuje się epidemija. Jeżeli takie nadużycia mogą mieć miejsce w samym zakładzie, cóż się dzieje po za obrębem szkoły? Jeżeli tu, gdzie argusowe oczy śledzą za postępowaniem każdego, swawola i nadużycie tak się rozwielmożniły, cóż dopiero mówić o tem, co się dzieje zewnątrz, zdala od kontroli, gdzie żaden cerber nie stoi na straży, gdzie po zrzuceniu munduru, uczeń staje się panem swojej woli i używa, a raczej nadużywa swobody, jak dziki zwierz, który się wydostał z klatki lub obroży!

Każdy sobie może dośpiewać reszty, każdy może sobie w własnej wyobraźni uplastycznić i uprzytomnić dalszy ciąg postępków takich indywiduów, jakie przedstawiłem. Nie mam zamiaru tu ich wyliczać, segregować i sondować do gruntu, chcę tylko pokazać je w głównych zarysach, nakreślić kontury tych sylwetek, szczegółowe ich poznanie zostawiając domyślności i osobistym badaniom czytelnika.

Gdyby to jeszcze złe i demoralizacyja szły w parze z nieuctwem, próżniactwem, jedno drugiego godneby było; tymczasem czepia się ono i tych, którzy w naukach celują. Uzdolnienie i rozwinięcie umysłowe nie przeszkadza wcale rozwijaniu się złych nałogów, narowów, skłonności pozbieranych tu i ówdzie, w ciągu kilkoletniej bytności w szkole. Postęp w naukach, w tym razie staje się owszem puklerzem i okopem, poza zasłoną którego dokonywają się najnędzniejsze zamiary, najniższe postępki, najplugawsze zajęcia. Uczeń wyższej klasy nie chce być gorszym czy raczej lepszym, od pierwszego łobuza i szlifibruka warszawskiego, noszącego miano złotego młodzieńca lub lwa salonów. Nurza się w kałuży, bo to mu przyjemność sprawia.

Kiedy jest możność gaszenia pożaru, to się go gasi; dopiero gdy płomień opanuje przedmiot, gasi się przynajmniej to, co sąsiaduje z nim a nie jest jeszcze uszkodzone. Gdyby zatem była możność większego śledzenia za postępowaniem uczniów, gdyby była sposobność równego ocenienia ich wartości moralnej, jak i umysłowej, zło nie zapuściłoby tak szeroko korzeni; ramiona polipów, nie mogąc pochwycić ofiar, zwisłyby z czasem. Członki zgangrenowane mogłyby ulegać amputacyi, iżby nie zarażały zdrowych zupełnie. Gdyby dobro wzięło górę nad złem, to ostatnie samo przez się uległoby powolnemu rozkładowi, lub, z przyczyny swej małej ilości, rozpłynęłoby się, jak kropla wody w całej szklance. Ludzie kompetentni powinni temu w części zaradzić. czy to przez zaprowadzenie ściślejszej kontroli, tak w samych murach zakładu, jak i po za nimi; czy też przez wprowadzenie na pierwszy plan, łącznie z nauką, sprawowania, wartości moralnej i charakterystyki każdego indywiduum. Jedno i drugie zdałoby się, według mego zdania. A może to, co ja nazywam możebnem i łatwem do wykonania w teoryi, w praktyce jest mrzonką i czczą utopiją! Podając i notując fakta, nie upieram się przy swem zdaniu lecz raczej czekam, iżby znalazło łaskawy posłuch u ludzi czynu, i dobrej woli, pobudziło do zaradzenia złemu.

Mówią, że szkoła to mały światek. Prawda ta nie ulega zaprzeczeniu. Lecz ci co tak mówią, nie znając bliżej teraźniejszej szkoły, mają pewno na myśli zbiór pospolity jednostek, z najróżnorodniejszymi temperamentami, z różnymi również zasobami umysłu, serca i kieszeni, jednem słowem, widzą w uczącej się

młodzieży nieskrystalizowaną jeszcze kolekcyją reprezentantów różnych rodzin i nacyj. W ścisłem jednak znaczeniu powyższego orzeczenia, rozumieć należy daleko więcej. I tak, minijaturowy ten światek, podobnie jak jego olbrzymi model (jak to pokazałem), zawiera co do ilości więcej zgniłych i psujących się atomów, jak zdrowych cząstek. Prawie wszystkie, a przynajmniej ważniejsze cechy wielkiego świata, znajdziemy tutaj wiernie skopijowane. Może więcej znajdzie się tu solidarności, zbratania, komunizmu w czynie? Gdzie tam! wszystko tak samo. Tak samo powstają tu stronnictwa, osobne koteryje, korporacyje, ligi i kółka, zasklepiające się same w sobie, a odgraniczające od reszty świata chińskim murem. Spotkać tu można arystokratów i demokratów *sui generis;* liberałów i konserwatystów; czułych przyjaciół i zaciętych wrogów. Pod względem opinij religijnych mało jest wyjątków: większość, należąc *de nomine* do jakiegokolwiek wyznania, *de facto* tworzy falangę indyferentystów. Już nie poprzestaje na polemikach i dysputach z rzekomo zacofanymi nabożnisiami, którzy pilnują przepisów i artykułów wiary do jakiej należą; lecz w postępowaniu starają się dowieść, że zrzucili z siebie pęta religii, jej ustaw i rytuału. A jeżeli z musu rąz na tydzień chodzą do kościoła, to i tam zajmują się bardzo przykładnie rozmową, robieniem uwag, spostrzeżeń i obserwacyj. Obszerny i obfity przecież materyjał mają do przejrzenia i skonfrontowania: to publiki, uczestniczącej w nabożeństwie (rozumie się płci żeńskiej), to księdza przy ołtarzu i na ambonie i t. p. Nie trzeba dodawać, że gdy się tylko zdarzy sposobność dezercyi z kościoła, to jej się nie omija.

Tak postępuje starszyzna uczniowska, która przecież młodszym winna dawać przykład.

W powyższym opisie wprowadziłem czytelnika po za kulisy słabo dotąd znanych misteryj; obnażyłem i pokazałem je w całej realnej nagości, łącznie ze znaczniejszemi bliznami i wrzodami, czyli innemi słowami wykazałem konieczność zreformowania dzisiejszej młodzieży, potrzebę jej umoralnienia i uszlachetnienia. Pozostaje mi jeszcze okazać przyczyny, czynniki i motywy, wpływające bezpośrednio na tak niski stan moralny, a tem samem objaśnić, gdzie należy na poprawę pracować.

Zwalać winę na szkołę, byłoby to samo co wieszać kowala miasto ślusarza, dla tego iż tamten pod ręką. Z drugiej znów strony napadać na teraźniejsze społeczeństwo, za jego zmateryjalizowanie, sceptycyzm, ateim i w. i. grzechów, byłoby również nonsensem. Gdzie zatem szukać winowajcy?

Oto, nie dalej jak pod strzechą rodzinną, w ognisku domowem, w pierwszej szkole i pierwszej instytucyi edukacyjnej!

Tam to się odbywa promowanie na człowieka, tam inauguracyja łotrów lub porządnych ludzi. Tam się daje każdemu fundamentalny zadatek złego i dobrego. Co stamtąd wyjdzie ma już nadany cel i kierunek, nosi wyryty na duszy stygmat zbawienia lub potępienia.

Rodzice tylko bowiem posiadają materyjał *in crudo;* oni więc winni mu nadać kształty, wyrzeźbić, uplastycznić tak, iżby praca ich pozostała na zawsze widoczną. Szkoła spełnia tylko zadanie uzupełniające: formie dodaje blasku, poloru, werniksu; zmieniać jednak pierwotne kształty nie jest jej zadaniem i możnością. Cała więc przyszłość pod względem wartości moralnej, leży w ręku rodziców. Oni są panami, mniej więcej, dodatniego lub ujemnego rozwijania się dzieci na tem polu. Oni winni ich wdrożyć, uposażyć w dobre zasoby. Tak zabezpieczone dziecko nie będzie chromać w życiu, a przynajmniej upadać bez podniesienia się; będzie ono zawsze tem, czem je zrobiła szkoła domowa. Cnota nabyta raz nie pójdzie w poniewierkę, przejdzie w żyły, we wszystkie fibry wychowania i zamieni się w nałóg, bo i cnota jest nałogiem. „*Virtus est habitus bene agendi,*" jak mówi teologija moralna.

Szkoła, swoje starania i siły skierowywa na umysłowe tylko kształcenie młodzieży; na moralne nie jest w stanie wywrzeć silniejszego wpływu. Sama bowiem liczba kilkunastu profesorów, w stosunku do kilkuset uczniów, czyż może być dostateczną i wystarczającą do śledzenia za postępowaniem każdego po szczególe? *Nec Hercules contra plures.* Zresztą tam gdzie matka i ojciec nic nie zdziałali, czyż mogą co zdziałać nauczyciele, którzy nie są nieodstępnemi stróżami każdego ucznia nietylko za klasą, ale i w klasie samej?.

Nie zwódźmy się pozorami i nie bierzmy skutku za przyczynę widząc objawy, następstwa i rozwijanie się złego, ale raczej szukajmy przyczyny tego zjawiska, a po nitce z pewnością dojdziemy do kłębka, znajdziemy się pod strzechą rodzinną. Zepsucie jakie napotykamy w młodzieży szkolnej, to już druga faza rozwoju, która bezpośrednio poprzedzona była pierwszem kiełkowaniem złego pod okiem rodziców. Kiedy w domu szala złego nie przeważała jeszcze zupełnie szali dobrego, w szkole wystawiona na działanie silniejszego prądu, widocznie się przechyla bo nie ulega żadnemu oporowi. Wkrótce następuje trzecia faza, punkt kulminacyjny złego: młodzieniec skończywszy nauki, dojrzewa, staje się pełnoletnim mężczyzną. Tu już jest grunt złego, opoka, na której się ono opiera i z której zrzucone być może, tylko wyjątkowo jakim nagłym kataklizmem, wstrząśnieniem i reakcyją. W poprzednim stadyjum możliwe było jeszcze usunięcie zła przy umiejętnem kierownictwie, tutaj nic ono już nie pomoże, wszystko jest za niem, nic przeciwko niemu: kręte ścieżki prawdy, wygodne acz prowadzące do zguby i fałszu gościńce, różnorodność opinij idei i tendencyj.

Peryjod trwania ostatniej szczególnie fazy, bywa rozmaity, dłuższy jednak zwykle od poprzedzających. Rozmaity równie bywa epilog tego dramatu jakto fakta pokazują, w każdym jednak razie rozwiązanie i zakończenie odpowiada i harmonizuje z ciągiem całej akcyi.

Na społeczeństwo winy tu składać nie można, dla tej prostej przyczyny, że ono samo jest wynikiem takiegoż procesu, jaki opisaliśmy wyżej. Atmosfera nie jest zanieczyszczona szkodliwymi miazmatami, spoczywają one w nas samych, my je rozprzestrzeniamy i z naszej winy powstają epidemije duchowe, brudy zepsucia, zarazy i zgnilizny. Posiadając w ręku środki i sposoby leczenia, przy dobrej woli, możemy przecież choć w części zapobiedz złemu, zmniejszyć jego potęgę i wyprowadzić z anormalnego stanu. *M. L. S.*

JEŹDCY APOKALIPSY.

Drzeworyt który podajemy na pierwszej stronnicy dzisiejszego numeru, przedstawia rysunek przygotowany do fresku przez Piotra Corneliusa, genijalnego niemieckiego malarza (ur. w r. 1787 w Düsseldorfie). W r. 1841 zamierzono w Berlinie zbudować katedrę protestancką, którą miała otaczać Kolumnada w czworobok, tej formy jak *Campo Santo* w Pizie, a każda jej ściana mająca przestrzeni 180 stóp długości a 40 szerokości, freskami miała być ozdobioną. Corneliu miał do tej budowli zaprojektować kompozycyje, które też w ciągu dwóch lat skreślił. Główną treścią tych pomysłów jest historyja ludzkości w duchu Pisma Świętego pojęta. Szereg obrazów myśl tę rozwijających, wzięty jest ze Starego i Nowego Testamentu; miało ich być 55. Z tych 17 tylko z wielką starannością ukończyć zdołał, gdyż śmierć przerwała pasmo dni jego w Berlinie d. 6. marca 1867 r. Jednym z tych pomysłów jest rysunek załączony w dzisiejszym drzeworycie, illustrujący rozdział VI Apokalipsy czyli Objawienia świętego Jana, według słów: „I widziałem, a oto, koń biały, a ten, który na nim siedział, miał łuk, i dano mu koronę, i wyszedł jako zwycięzca, ażeby zwyciężał... I wyszedł drugi koń rydzy; a temu, który na nim siedział, dano, aby odjął pokój ziemi, a iżby jedni drugie zabijali, i dano mu miecz wielki... I widziałem, a oto, koń wrony, a ten co na nim siedział, miał szalę w ręce swojej... I widziałem, a oto, koń płowy, a tego, który siedział na nim, imię było śmierć, a piekło szło za nim; i dana im jest moc nad czwartą częścią ziemi, aby zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez zwierzęta ziemskie.... Widziałem pod ołtarzem dusze pobitych dla słowa Bożego i dla świadectwa, które wydawali; i wołali głosem wielkim, mówiąc: Dokądże, Panie święty i prawdziwy! nie sądzisz i nie mścisz się krwi naszej nad tymi, którzy mieszkają na ziemi?" (w. 2 — 10). Straszna groza i wspaniałość obrazu skreślonego przez natchnionego pisarza Apokalipsy, znajduje zupełne upostaciowanie w tym rysunku Corneliusa. Pewnem jest przeto że powyższe kartony, już same przez się zdolne są uwiecznić imię tego znakomitego malarza.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki
zebrała
Zofija z Brzozówki.
(ciąg dalszy)

XII.

„Nie toć szczęśliwy, co po uszy w złocie,
„Lecz toć, co cnotliw, w bolu i kłopocie."
M. Rej.

Po wyjeździe podkomorzynej i myśmy wkrótce wyjechali na wieś. Po kilku dniach i w chwili w której mała siostrzeniczka szczebiotała nam:

„Wsi spokojna, wsi wesoła,
„Któryż głos twej chwale zdoła?"

wszedł rządca z rachunkami dzierżawców, podług których wypadło każdemu dopłacić za łaskawe zniszczenie majątku. Wzięto się do porządkowania, chociaż wkrótce wypadało wyjechać w inne strony, aby znowu po kilku latach znaleźć nową pociechę w domowym porządku. Cztery kąty i piec piąty?! Gdyśmy dnia pewnego siedzieli sobie gwarząc o tej przyszłej podróży, zajechał pan Józef Szlachciński nasz dawny i wierny przyjaciel.

— Witamy kochanego pana Józefa, jak się macie, gdzieżeście bywali tak długo?..

— Wiatr mnie nosił po wielu miejscach, a zdrów nie zupełnie jestem.

— A wesółżeś pan jak dawniej?

— I to nie, droga pani, troski i mnie dojechały. Prawdę mówił pan Józef; twarz mu się wyciągła, bystre czarne oczy pobladły, włos pobielał przed czasem. Twardej to cnoty ale miękkiego serca człowiek; umysł miał rzutki, wsparty wiedzą, wolący życie niż książki; pamięć albertrandowska, dowcip poczciwy, nie pospolitujący się w zabawianie gawiedzi; bystrem swem okiem postrzegał co błahe, liche, obłudne, biernością nikczemne; gromił siarczyście wszelką nieprawość, przyjmując wdzięcznie szczerze wypowiedzianą prawdę o swych słabościach, których w istocie miał bardzo nie wiele. Każdą zacność kochał namiętnie, i w najgorszym człowieku rad był wyszukać choćby dalekiego jej echa. Lubił konie, sztukę i trzeźwość. Niecierpiał kart i wykrochmalonej etykiety. Sąsiedzi mówili, że to pół waryjat, bo czemuż z taką edukacyją, dobrze urodzony i przystojny nie szuka *karyjery* w urzędzie lub bogatym ożenku; inni nazywali go po cichu poczciwym dziwakiem; ci co lękali się jego dowcipu obsypywali go grzecznościami; każdy jednak musiał go szanować i w każdej przygodzie był pewnym jego serca.

— Powiedzże panie Józefie, cóżeś porabiał i gdzieżeś bywał od czasu jakeśmy cię widzieli?

— Wiecie że ślęczeć nie lubię, próżnować nie chcę, więc cały ten czas prawie przebłąkałem się po świecie. Jeżdżąc wzdłuż i w poprzek kraju, doznałem wielu wrażeń, o których na wielkim świecie nie wiedzą i w książkach o nich nie piszą.

— Musisz mieć zapewne notatki ze swych podróży, powiedziała Emilija, chciejże je nam udzielić, panie Józefie. Pewnoś w tym czasie wiele pisywał do dzienników?

— Notatki mam nieuporządkowane, do dzienników prawie że nie pisałem.

— A nam mówiono przeciwnie; mówiono żeście je zasilali obficie.

— Czyż to państwo nie znacie parafijalnej mądrości? Napisz człowiecze choćby raz coś w życiu, to już policzą na twój rachunek wszystko, co gdziekolwiek wyczytają, a co ma jakiekolwiek podobieństwo z ludźmi ich okolicy.

Przyjeżdżam np. do pewnego domu i zastaję wszystkich na siebie odętych jak pęcherze, mianowicie jejmość dobrodzikę i córeczki. Co przyczyną tego oburzenia? a czytali oto jakiś tłómaczony romans francuski, bez tytułowej karty, a znalazłszy opisanie jakiegoś domu w Normandyi, w podobnej położonego okolicy, byli pewni że o nich mowa. Na nieszczęście, normandzka rodzina miała również trzy córki, a na dobitek, siedziała na machoniowych krzesłach z obiciem tegoż samego koloru jak w salonie tych państwa. Z tego wypadło: że ten przeklęty Józef, którego macie przed sobą, ogadał ich za pomocą druku. Dostałem cały egzemplarz tego romansu i sam zawiozłem do zagniewanych. Jegomość rozśmiał się ucieszony, jejmościanki łaskawemi rączęty częstowały mnie aż do przesytu konfiturami, tylko jejmość uśmiechała się jak za pokutę, nakoniec rzekła dobrodusznie: No przyznaj się pan przyznaj, to ty musiałeś gdzieś spotkać, tego przeklętego Francuza, musiałeś mu o nas mówić a on wziął i wydrukował, naplótłszy w dodatku od siebie tyle niestworzonych bańialuk. Skądżeby sam mógł wiedzieć jakie są u nas meble, jakim adamaszkiem pokryte, albo że moja Kasia ma czarne oczy i małą nóżkę?

— Dałabyś też jejmość pokój tym swoim domysłom, przerwał szorstko gospodarz. U was to zaraz i szlochy i fochy i dąsy i kąsy, a to właśnie może niejednemu posłużyć za dowód że gore czapka na złodzieju.

— Trzeba posłuchać pana Ignacego [1]) zjakim to on humorem opowiadał podobne zdarzenia ze swego długiego życia, rzekł pan Norbert Senadworski. Pewnego wieczoru, zaszliśmy sobie z nim byli na szklankę herbaty: pijemy ją w osobnym pokoju i czytamy gazety, a w tem podchodzi ku nam gospodarz zakładu i prosi poety o wygotowanie pewnej liczby karmelkowych wierszyków, ofiarując za to dwadzieścia złotych gotówką, lub czterdzieści w cukierniczych produktach. Odmówił naturalnie chociaż obstalunki w tym rodzaju bardzo mu się często trafiały. Właściciel naprzykład domu w którym mieszkał Szydłowski zaproponował mu był raz napisanie satyry, i to pieprznej co się zowie, na pewną panienkę, co dała odkosza jego infantowi. Satyrę tę chciał wydrukować w jakiej poczytnej gazecie, a jako honoraryjum obiecywał nie podnosić ceny mieszkania przez cały rok następny, i odłożyć zaległości na kwartał cały. Gdy tej oferty nie przyjął poeta, obrażony właściciel wymówił mu lokal, a o zaległe komorne proces natychmiast wytoczył.

Pana Ludwika[2]) napadła raz zabawna ciotunia, błagając na wszystkie świętości, iżby odpisał na krakowiaka, wymierzonego jakoby przeciw jej siostrzankowi. Gdy prośby nie skutkowały pobiegła do adwokata, żądając odeń wierszowej repliki a gdy i tu opór znalazła, powiada: to za cóż ja płacę panu po dwieście złotych pensyi rocznie, kiedy spraw nie mam prawie wcale? Mniejsza o to, pójdę do kogo innego, co zapłacę to zapłacę ale wiersze mieć muszę i w nich jeszcze się co i panu dostanie.

Innym razem byłem świadkiem jak u Julki na kawie, zaatakował pana Romualda [3]) poważny staruszek, wymawiając mu z dobroduszną, łzawą goryczą, domniemane oczernienie jego krewnych w jednem ze swych wydań. P. Romuald wysłuchał do końca całej perory a potem rzekł: Posłuchaj mnie szanowny cześniku a ręczę że sam staniesz w mojej obronie.

— Słucham.

— Książka uważana jako towar, tem jest lepszą im jest pokupniejszą nie prawdaż?

— Prawda.

W tej chwili podsunął się żydek jakiś rekomendując cześnikowi za kilkanaście złotych odkupienie portretu nabytego na licytacyi. Ani grosza zań nie dam, rzekł cześnik, gdyby to był mój znajomy to co innego, ale tak...

— Niechże mi będzie wolno zapytać, czy pańskich krewnych znają w całym kraju, zapytał teraz Romuald.

— Gdzie tam panie! Toć przecież ani magnaci ani wielcy sławni ludzie, poczciwi hreczkosieje i kwita.

— Pewno nie kupiłbyś pan też książki w którejby sportretowano jakąś rodzinę o sto mil stąd zamieszkałą, lub gdybyś ją kupił przypadkiem, gniewałbyś się porządnie na autora, po co panu za własne pieniądze każe to czytać, co go bynajmniej nie obchodzi. Wszak prawda?

— Prawda.

— Więc chyba dla tego żeby nikt książki nie kupił, albo aby kupiwszy gniewał się o to, miałbym ja lub ktokolwiek, drukować portrety pańskich krewnych? Przytem, chciej pomyśleć szanowny cześniku, że dokładność familijnego portretu jest potworną w sztuce. Celem portretu, na który każdy ma patrzeć z zajęciem, jest być podobnym do wszystkich w ogóle i do nikogo szczegółowo. Koń przez Lineusza opisany podobny i do pańskich siwoszów co to bruk biją przed bramą, i do wszystkich koni na całym świecie, chociaż każdy z nich po śmierci Lineusza się rodził.

— No prawda, prawda, nie mam racyi, przyznaję i wierzę że na starego gniewać się nie będziesz.

Romuald z cześnikiem uścisnęli się serdecznie, a słuchacze dali brawo obydwom, i wypito parę butelek węgrzyna za zdrowie świętej zgody i pogodzonych.

— Możeś zwiedził i moje strony, kochany panie Józefie? zapytała pani Zagłobina.

— Bawiłem tam kilka tygodni.

— Pewno w tej zapadłej okolicy wszystko po staremu być musi? Przeszło lat dwadzieścia jak opuściłam tamte strony, lecz jak miarkuję z listów moich krewnych, mało tam zmiany; nawet owe za moich czasów oryginalne antyki, żyją tam jeszcze.

— Niektórych sam widziałem.

Pan Józef chciał rozmowę zwrócić na przedmiot inny, lecz ciekawość kobiet tak go naciskała, że musiał opowiadać z kolei zdarzenia z wędrówki swojej.

— Opowiem co chcecie, rzekł nakoniec pan Józef, tylko dajcie co prędzej herbaty i pozwólcie zapalić cygaro.

— Przecież znamy wasz gust, odpowiedziała gospodyni domu, i oto jedno i drugie.

Pan Józef zapalił tedy cygaro i tak zaczął, zwracając mowę do pani Zagłobinej.

— Pierwszy mój wyjazd z domu, był w rodzinne strony wasze; pierwszy nawet nocleg na dawnej ziemi waszych rodziców, w znajomej wam Lublince. Gospoda wygodna i go-

[1]) Fakt z życia Ignacego Szydłowskiego.
[2]) Fakt z życia Ludwika Kondratowicza (Syrokomli).
[3]) Fakt z życia Romualda Podbereskiego.

spodarz uczciwy. Zastałem tam podróżnych zupełnie mi nieznanych: byli to dwaj dostojnicy, pan Kruk i pan Ślepowron; jeden już niemłody, drugi dobrze stary; zajmowali jeden pokój, a ja tuż obok nich stałem; całą zatem rozmowę słyszałem dokładnie. P. Kruk miał przysłowie, *padam panu*, co znaczyło, powiadam panu; a pan Ślepowron: *aha aha, tak tak*; i brał się za brzuch i śmiał się prawie za każdym wyrazem. Widać że obaj niedosłyszą, bo mówili bardzo głośno, zapijając kawę przy stoliku.

Pan Kruk miał pamięć doskonałą i dowcip wężowego jadu. Jako szambelan Stanisława Augusta, pamiętał dawne rzeczy, mianowicie czasy pruskie, w których jego młodość i fortuna były w pełnym rozkwicie. Pan Ślepowron znacznie młodszy, słuchał z wielkim apetytem wszystkich miłośnych przygód pana Kruka. Takiej rozmowy powtarzać nie wypada, lecz opowiem inną dla koloru stron obu.

— Padam panu, odzywa się pan Kruk, my dwaj dostojnicy jedziemy do Rygi, padam panu, że chcąc aby nas tam szanowano trzeba koniecznie mówić po francusku, bo inaczej nie ocenią nas kręciciele.

— Aha aha, tak tak, prawdę mówi pan szambelan. Ale cóż począć kiedy nie umiem po francusku. Matka wcześnie umarła, ojciec także, a opiekunom tego trzeba było żebym nic nie umiał.

— Padam panu, ja pana nauczę.

— Aha aha, tak tak, ale może to będzie za trudno? W moim wieku uczyć się ciężko.

— Padam panu, nietrudno; dziwnie łatwy wynalazłem sposób, i to przez przyjaźń dla pana suszyłem sobie nad nim głowę.

— Aha, aha, tak, tak, a jakiż to ten sposób?

— Padam panu, oto taki: Jak przyjedziemy do Rygi, a stanie przed nami uniżony kupiec, będę do pana mówić po francusku; padam panu, odpowiadaj, *oui, oui*; potem zagadam znowu, padam panu, odpowiedz wówczas, *non, non*; i tak na przemiany, na pierwsze pytanie mówi się, *oui*, na drugie, *non*.

— Aha aha, tak tak, toż nie trudno mówić tylko *oui* i *non*; żebym tylko nie zapomniał.

Pan Ślepowron szepleniącym językiem, i biorąc się za boki i śmiejąc, powtarzał przez dobry kwadrans, *oui, oui, non, non*; nareszcie rzekł:

— Już umiem, nietrudny to język, pracować tylko trzeba. Aha aha, tak tak, już umiem.

— Padam panu, jak z płatka pójdzie, francuczczyzna zaimponuje wszystkim.

Dowiedziałem się później, że pan Kruk kazał sobie drogo za naukę zapłacić: bo gdy pan Ślepowron umówił się w Rydze z kupcem o całą partyją swego lnu i miał mieć za nią wyliczone wieczorem pieniądze, p. Kruk tegoż dnia z rana, w obecności kupca przemawiał po francusku do p. Ślepowrona, który odpowiadał podług nauki swego mistrza. Pan Kruk prosił swego towarzysza podróży o pozwolenie przyjęcia z rąk kupca tysiąca czerwonych złotych, których na czas krótki potrzebuje. Pan Ślepowron zadość uczynił prośbie, mówiąc, *oui, oui*; p. Kruk odezwał się znowu po francusku, pytając azali mu jakiej niedogodności nie czyni biorąc tę bagatelną sumkę na parę miesięcy, na co Ślepowron odrzekł: trzymając się za brzuch: *non, non*. Pan Kruk wyszedł więc z kupcem który za wyraźną wolą p. Ślepowrona złożył w jego ręce 1000 czer. złotych.

Nad wieczorem przyszedł kupiec z opłatą za len, p. Ślepowron niedoliczywszy się tysiąca dukatów, pyta po polsku, dla czego nie ma wszystkich pieniędzy? Kupiec przypomina po francusku że sam przecie kazał wyliczyć tysiąc czer. złotych panu Krukowi. Pan Ślepowron w ambarasie odpowiada, *oui, oui*, wstydząc się wyznać że nie umie po francusku i lubo z bólem serca, skwitował kupca z całej summy, który ani się domyślił jaka komedyjka odegrała się pomiędzy dostojnikami. Po wyjściu kupca p. Kruk bez zarumienienia, winszował uczniowi tak prawdziwie pańskiego tonu. Padam panu, kupcy nie będą myśleć że to my jakieś szerepetki, nie umiejące po francusku. Aha, aha, tak, tak; ale nauka za droga i prawdziwie nie wiem jak to się stało. Padam panu, najlepiej się stało, zaimponowaliśmy kupcom francuzczyzną, tylko pan często powtarzaj *oui, oui, non, non*. Aha aha, tak tak, nie zapomnę, za dobrze wraziło mi się w pamięć i wziął się za brzuch, który go teraz prawdziwie zabolał.

— Pamiętam tych panów jak we śnie z czasów mego dzieciństwa, rzekła pani Zagłobina, i nasłuchałam się o nich mnóstwa powieści; szkoda żeś ich nie poznał bliżej, byłbyś nam powiedział jak dzisiaj żyją.

— Owszem, poznałem i bardzo blisko. Z obowiązku kuratora magazynów włościańskich, zajechałem do pana Kruka: przyjął mnie z zabiegliwą grzecznością i zaprosił na obiad. Kobiet nie było w salonie pustym i brudnym. Podczas śniadania, przeszła tylko jakaś zaszargana imość, za nią stado rozmaitych piesków i atmosfera ciężka. Wziąłem ją za jakąś pomocnicę ochmistrzyni, była to jednak sama pani szambelanowa, kobieta bardzo dobrego domu, ofiara karyjery, styrana, zmalała, oddana całkiem piastowaniu psów. W pokojach było też ich niemało rozmaitego kalibru: ślepe, chrome, gołe, guzowate, i kto ich tam wyliczy, słowem wszystkie obrzydliwe, bo to oznaczało czułe serce pielęgnować psy kalekie. Szanowne małżeństwo w braku własnych dzieci ukochało psy, które przez wdzięczność wystraszały nieraz szczekaniem i wyciem licznych wierzycieli mających osłabione nerwy.

Pan Kruk gadał wiele o swoich parentelach, słuchałem cierpliwie, lecz gdy mi się oświadczył z protekcyją, podziękowałem bardzo grzecznie, oświadczając iż mam już dwóch protektorów, Pana Boga i pracę, a więcej nie potrzebuję, lecz że pan szambelan skarży się na odciski i ciężkie czasy, oświadczyłem moję protekcyją do krewnego szewca, co mu najwygodniejsze buty na kredyt uszyje, a w potrzebie i pieniędzy pożyczy. Tak się zakończyła kwestyja protekcyi gdy dano do stołu.

W tem nadjechało kilku wierzycieli. Szambelan z pańską uprzejmością dziękował im że go raczyli odwiedzić i rozerwać w kłopocie. A kłopot wielki, trzeba jechać aż do Ameryki, po sukcessyją siedmiu milijonów funtów sterlingów. Poczciwa szlachta pytała co znaczy funt sterling, a gdy szambelan wartość ich tłómaczył, szlachta kiwała głowami mówiąc: dwakroć ośmdziesiąt milijonów złp. to nie piechotą chodzi! A pan szambelan najbojętniej narzekał tymczasem tylko na nudy przyszłej podróży, i najsolenniej zapraszał każdego, aby mu chciał towarzyszyć do Nowego-Yorku. Gdzie nam panie jechać tak daleko od gospodarki, odpowiadali poczciwce; wierząc dosłownie w szambelańską sukcessyją i kłopoty amerykańskiej podróży.

Nareszcie zasiedliśmy społem do stołu. Służyło nam kilku w wytartej liberyi lokajów i kilkunastu psów czyhających na potrawy. Jeść mi się chciało okropnie, trzymam na widelcu kawał mięsa, mam go już włożyć do ust, gdy w tej chwili, wyrywa mi go pies i połyka na powietrzu. Milczę przez grzeczność i chcę drugim kęsem sobie wynagrodzić, ale na nieszczęście, odwróciłem się z odpowiedzią do sąsiada i odebrał lokaj talerz. Uważałem, że podobnież się działo i z innemi gośćmi; albo psy, albo lokaje chwytali kęsy lub talerze. Trzeba było ciągle mieć się na baczności i jednym tchem zjadać wszystko. Prawdę mówiąc, i psy i lokaje okrutnie byli chudzi i mieli prawo do takiej usłużności.

Od obiadu wstaliśmy prawie głodni; gospodarz karmił nas tylko ciągłemi facecyjami; uosobiając doskonale ujemną stronę przeszłości. Zbankrutowany szambelan wyglądał jak pusta makowa główka; mak zjadły wróble, a łupina została światu i wierzycielom.

Samej pani nie mieliśmy honoru oglądać, słyszałem tylko jak nawoływała psy wyniosłszy półmisek kości, widziałem z okna jak je wyrzuciła dla kilkudziesięciu zgłodniałych. Gryzły się straszliwie, mało nieroztargały swojej dobrodziejki rozbraniającej fawory tów.

Zostałem na noc, chcąc się bliżej przypatrzyć tym, może ostatnim, gruzom dawnego zepsucia. Nad wieczorem przyjechał urzędnik opisywać majątek, tradować miasteczko za długi. Pozbiegali się dzierżawcy, którzy za trzy lata zapłacili z góry, a teraz nowej wymagają od nich opłaty, bo kontrakty nie były prawne. Płodny dowcip szambelana wynalazł nowy sposób egzekwowania pieniędzy z mieszkańców. Szambelan miał zasłużonego lokaja Borysa a był to stary wyjadacz, niejako sołtys dworski. Tegoż samego wieczora Borys, zabrawszy z sobą psy najgłodniejsze, wyszedł do miasteczka na egzekucyją, ja za nim. Ubrany był w trawiasty bajowy surdut, miał czapkę bez daszka i pejcz w ręku. Jakiego był Borys wieku, odgadnąć tego nie można. Twarz ospowata, rudawa, włos tegoż koloru, oczy zezowate; kilka brodawek na czerwonym nosie, kilka rudych włosów pod nosem; chudy był, żylasty, rosły, zwinny i krzykliwy.

Był to właśnie szabas. Żydzi pogrzęźli w betach, spali w najlepsze, nie czując co za nieszczęście wisi nad nimi. W piecu stały rondelki z kuglem i innemi łakociami, po błogim śnie mieli je smaczno spożywać. W tem do izby wchodzi Borys z psami; wrzaskiem obudził śpiących, powyciągał z pierzyn biedne kobiety, dawał pstryczki bachurzętom i krzyczał chrapliwie: Dawajcie pieniędzy! Zaraz na stół sto rubli, bo powyrzucam z karczmy, oto papier!

Izraelici przysięgali że zapłacili z góry, że nic od nich nie należy, pokazywali na dowód kwity, przysięgając pod *hejrymem*, że grosza nie mają przy duszy. Co tam znaczą te świstki na prostym papierze, pieniędzy, pieniędzy! wrzeszczał Borys. Panie Borysie, mówiła arendarka, zlituj się nad nami! i wsunęła mu do kieszeni pełną garść pierników. Arendarz drze się za pejsy, zaklina, błaga, coś nawet szepce Borysowi do ucha, wszystko nadaremnie: Borys tłucze kieliszki, butelki, wyciąga kugle z pieca i psom na pastwę oddaje. Już tego nie mogli wytrzymać strwożeni Izraelici, zaczął się głośny płacz i lament kobiet, rozpaczne mężczyzn targanie się za brodę, jęk i chlipanie po kątach przytulonych dzieci.

Stary Izraelita szabasujący w przejeździe, osłupiał z zadziwienia i rzekł do mnie:

— Ja żyję lat piędziesiąt pod moim panem bez kontraktu, nasz ojciec cały wiek przeżył na słowie i nas pohodował na jednem miejscu, a o grosz nigdy sporu nie było. Co tu jest, co tu jest, aj waj, aj waj!

A tymczasem psy wyjadają z koszernych naczyń resztki familijnej uczty, Borys rozrywa i wyrzuca bety, łamie szabaśniki, przewraca wszystko do góry nogami, wrzeszcząc w niedługich pauzach: Sto rubli na stół!

Arendarka pada na kolana, i błaga Borysa dobrodzieja, choćby o tydzień zwłoki, aby zebrać choć połowę żądanej kwoty. Borys głuchy na prośby, jak wicher gwałtowny zmiata i druzgoce wszystko. Nakoniec do rozprutych poduszek, zamiast piór wypuszczonych, nasypuje popiołu, kładzie je na stół i zaczyna po nich tarabanić we dwa kije. Leci kurz słupem, krztuszą się niebożęta. Borys wprzód oczy i gębę zacisnąwszy, zawiązał chustką uszy i stoi jakby za Wezuwiuszem, wyrzucającym siarczyste popioły.

Ten sposób był już nad siły egzekwowanej rodziny. Arendarz gdzieś wyskrobał sto rubli, i ze łzami, kłaniając się aż do ziemi, położył je na stół. Borys zabrał pieniądze, zwołał psy i poszedł dalej na podobne polowanie.

Gdzie przeszedł Borys, gdzie przeszły psy ulubieńce pałacu, tam wszędzie było jak po dżumie. Szambelanowi wielka stąd wygoda, boć miał *gratis* tyle usług, bo Borys odziewał się i pił swoim przemysłem, psy żywiły się cudzym kosztem, pan tylko jednego i drugich nie chciał opłacać wierzycieli ze swoich funduszów.

— Jakże ten człowiek takiem życiem żyć może, jak go ludzie cierpią między sobą? przerwał młody Zagłoba, student uniwersytetu.

— Ma prawo do życia skoro żyje, skoro go cierpią ludzie. Każde złe na świecie dla tego żyje, że ma grunt dla siebie właściwy. Ten pan szambelan dziś nawet, gdy od jakiego zapiecowego poczciwca jaki grosz wydurzy, wnet zaprasza na bal sąsiadów i znajomych, i ma ich pełne salony; jadą nań nie tylko starzy, lecz biorą z sobą i młodzież, a mamunie sztafirują córeczki, a nuż się zdarzy jaki konkurent bogaty. Przed rokiem był tam bal taki, lecz już ostatni: pan szambelan od kilku miesięcy nie żyje; umarł w ostatniej nędzy, gdzieś w nadmorskiem ustroniu między obcemi.

Ogromną fortunę rozszarpali wierzyciele a brat wasz rad był że mu jakiś szachraj, nabywca zlewków, za oblig na trzy tysiące dukatów dał tysiąc złotych polskich. (d. c. n.)

ZARYSY
Gubernij północno i połudn.-zachodnich,

skreślił

JAN ZE ŚLIWINA.

(Ciąg dalszy,—patrz Nr 47).

XVI.

Znaczniejsze miasta i osady w gubernii Mohilewskiej.

Białynicze, niegdyś własność Sapiehów. Sławny kanclerz Lew Sapieha fundował tu Karmelitów w r. 1632. W kościele znajduje się obraz Bogarodzicy, koronowany w roku 1761 przez Jerzego Hilzena biskupa smoleńskiego, słynny cudami na całą Białoruś. Białynicze dla wyznawców religii rzymsko-katolickiej na Białej-rusi, mają takież znaczenie, jak Częstochowa dla Polski, Ostra-Brama dla Litwy, Szydłów dla Żmudzi. Po skasowaniu klasztoru utworzono tu parafiję. W r. 1859 pożar zniszczył kościół, ale dzięki zabiegliwości i staraniom proboszcza, kanonika mohilewskiego, ks. Lucyjana Godlewskiego, słynnego kaznodziei, wkrótce ze składek pobożnych, dźwignięto nowy wspaniały kościół. Obraz był uratowany przy pożarze, i dziś ściąga tłumy modlących się z dalekich nawet stron. W XVII wieku była tu drukarnia. W ostatnich czasach Białynicze należały do Kożuchowskich a dziś do p. Medwedowa.

Toloczyn nad rzeką Turcem, niegdyś własność Sapiehów. I tu Lew Sapieha fundował kościół. Byli tu także Bazylijanie, którzy przez długi czas utrzymywali tu szkołę. Żydzi toloczyńscy prowadzą dość znaczny handel. Przez Tołoczyn przechodzi Moskiewsko-Brzeska kolej. W r. 1812 Napoleon nocował w Toloczynie.

Kruchloje, miasteczko na prawym brzegu Druci nad jeziorem *Sitno*. Jest tu ulica i stary cmentarz, które przechowały nazwisko *tatarskich*. Są tu dwie cerkwie. Mieszkańców około 700 dusz.

Krucza, miasteczko nad rzeczką *Ośliką*. Mieszkańców około 500 dusz.

Orsza, starożytna *Rsza*, dziś miasto powiatowe, nad Dnieprem i *Orszycą*. Mówiliśmy już o ziemi orszańskiej. Orsza należy do prastarych osad słowiańskich. Świadczy o tem odwieczne grodzisko, z czasem na zamek i następnie warownię silną murowaną zamienione i wielkim wałem ziemnym otoczone. Latopis wspomina o Orszy pod rokiem 1116, mówiąc o Włodzimierzu Monomachu. W XIII wieku Toweiwiłł, synowiec Mendoga króla litewskiego wyzuty z księstwa połockiego, był namiestnikiem w Orszy. Za Witolda Orsza do niego należała. Rościli do niej pretensyje i książęta smoleńscy, a w latach 1386 i 1396 zdobyli nawet gród, ale Witold wnet ją odzyskał, głównego zaś przewódcę kniazia Michajłowicza [1]) śmiercią ukarał. Orsza pamiętna kilku walnemi bitwami i w późniejszych czasach. Tak w r. 1508 Zygmunt I z Firlejem odnieśli tu zwycięztwo nad kniaziem Glińskim. W roku 1514, pod Orszą, między wsiami *Horodnią* i *Antonilem*, Konstanty kniaź Ostrogski wziął w niewolę Bułhakowa i Iwana Czeladina z całym obozem, przyczem 30,000 ludzi legło na placu. [2]) Są dotąd liczne mogiły lasem pokryte które podług podania miały być wtedy usypane. Ale odróżnić łatwo te świeże mogiły od prastarych, przedhistorycznych kurhanów, niewątpliwie mających związek z *Horodnią*, której samo nazwisko dowodzi odległej starożytności, jako miejsca *ogrodzonego*, z grodziskiem odwiecznem. Za Zygmunta Augusta, za starostwa Filona Kmity Czarnobylskiego, warownia orszańska była wzorowo uzbrojoną i uważana za jednę z najsilniejszych. Jako o punkt pograniczny troszczono się o to. W roku 1564 nowa i straszna przypadła w tej okolicy bitwa, pomiędzy Orszą a Ułą, na polu Iwańskiem. Nakoniec w r. 1812 Orsza odegrywała ważną rolę. Po bitwie pod *Sołtanówką* d. 23 lipca, marszałek Davoust założył w Orszy tymczasową główną kwaterę swoję. W Orszy, *Dubrownie* i *Rosośnie*, urządzone były centralne składy prowijantów i furażu. 19 zaś listopada sam Napoleon stanął w Orszy, już jako zwyciężony i troszczący się jedynie, aby przy życiu dostać się co prędzej za granicę.

Do najstarożytniejszych cerkwi i monasterów w Orszy należą dwa monastery, męski i żeński, znane pod nazwą Kutejnskich, fundacyi Statkiewicza, hojnie uposażone przez Aleksego Michajłowicza. Nadto soborna cerkiew Narodzenia Maryi, cerkiew Zmartwychwstania Pańskiego, ś-go Elijasza (za Dnieprem), ze wszystkich jednak najstarszą jest cerkiew ś-go Mikołaja.

Po r. 1772, jak już wspomnieliśmy, pierwszym jenerał-gubernatorem Białej Rusi był hrabia Zacharyjasz Czernyszew, jenerał feldmarszałek. Po jego śmierci wdowa po nim, hrabina Czernyszewa upodobała sobie Orszę i tu osiadła. Będąc nadzwyczaj nabożną, gdy już wiek i dolegliwości niepozwalały jej wychodzić, zamieszkała przy jednej z cerkwi, z którą urządzono bezpośrednią komunikacyją, tak, że leżąc w łóżku widziała i słyszała całe nabożeństwo.

Kalwini mieli tu swój zbór w XVI wieku. Zygmunt III w r. 1612, fundował tu kościół i kollegium Jezuitów, którzy tu szkoły utrzymywali aż do r. 1820. Były tu także klasztory Bernardynów od r. 1636; Dominikanów od roku 1650; Franciszkanów od r. 1680; Trynitarzów od r. 1714. Bazylijanów fundował wraz z kościołem Opieki Matki Boskiej, starosta Łepkowski w r. 1758. Żeńskich klasztorów było dwa: Maryjawitek i Bazylijanek.

Obecnie jest 1 monaster i 7 cerkwi prawosławnych i 1 kościół katolicki.

---

[1]) Od tych bodaj Michajłowiczów pochodzą kniaziowie Żagielowie.

[2]) Ks. Ostrogski na pamiątkę tej bitwy i odniesionego zwycięztwa założył w Wilnie cerkiew pod wezw. ś-go Mikołaja i dziś istniejącą niedaleko ratusza na przeciw pałacu Paca.

Mieszkańców liczą (1866 r.) 7,322 głowy. Domów 636, magazynów i sklepów 150. Miasto ma w posiadaniu 2,323 dziesięciny ziemi. Handel dość znaczny.

Przez Orszę przechodzi kolej Moskiewsko-Brzeska. Okolice Orszy obfitują w pokłady kamienia wapiennego, którym mieszkańcy od niepamiętnych czasów handel prowadzą z Moską, Kijowem i t. d.

Dubrowna, albo *Dąbrowna*, na lewym brzegu Dniepru, przy ujściu rzeki Kropiwny, ze starożytnym zamkiem. Dubrowna odległa od Orszy o $2^1/_2$ mili, była gniazdem sławnego rodu Hlebowiczów, którzy pisali się hrabiami na Dubrownie. Z nich Mikołaj Hlebowicz kasztelan wileński fundował tu Bernardynów w r. 1630. Ród Hlebowiczów wygasł a Dubrowna orszańska, jak również Dubrowna koło Zasławia, o której mówiliśmy dawniej, z wielu innemi dobrami przeszły na własność Kazimierza Sapiehy wojewody wileńskiego, po żonie jego Krystynie Hlebowiczównie. Odtąd Dubrowna zostawała ciągle we władaniu Sapiehów i nazywała się hrabstwem Dubrowieńskiem, do którego należały Lubawicze, Teolin i wiele innych majątków. Wiemy, że od roku 1739—1774 połowa tego hrabstwa z samą Dubrowną była w posiadaniu księżnej Sapieżynej, córki Samuela Sołtana, jako dożywotniczki, gdyż dziedziczką była córka jej Krystyna księżna Masalska wojewodzicowa mścisławska. Krewny jej Józef Sołtan podstarości rzeczycki był gubernatorem Teolina. [1]) Druga zaś połowa hrabstwa Dubrowniańskiego należała do brata jej męża ks. Sapiehy hetmana polnego litewskiego.

Po pierwszym rozbiorze, Katarzyna II wiele dóbr białoruskich rozdała zasłużeńszym jenerałom i dygnitarzom w nagrodę gorliwej ich służby. Między innemi sławny Grzegorz Potemkin, ks. Taurycki, jenerał-feldmar., otrzymał w darze dobra z 60,000 dusz. W liczbie tych dóbr było i całe hrabstwo Dubrowniańskie. W owym czasie w południowych województwach, które jeszcze zostawały pod panowaniem Polski, był możny pan na Śmile, Ksawery książę Lubomirski, podskarbi koronny, syn Stanisława marszałka w. koronnego, miał w posiadaniu 300 wsi i 14 miast; w dobrach jego liczono 116,000 dusz!! Książę Ksawery był dzieckiem swojego wieku. Fundował kościoły i klasztory, był sprawiedliwym i dobroczynnym dla włościan, położył wielkie zasługi w obronie kraju od Tatarów i kozaków; utrzymywał na własnym koszcie silną załogę i warownię smilską zaopatrzył tak, że mogła się bronić przed nieprzyjacielem. Lecz obok tych cnót znakomitych, był to typ możnowładcy ówczesnego, dumnego, zawziętego, mściwego, co go nieraz do okrucieństw nawet posuwało. Naraził się więc wielu panom koronnym, a nawet królowi, którego rozkazom uledz nie chciał i powagi majestatu uszanować nie umiał. Zagrożony sądem, wyjednał sobie stopień jenerała rossyjskiego, a gdy w końcu i to nie wystarczało, aby go zasłonić od wymiaru sprawiedliwości, oddał się zupełnie pod opiekę Rossyi, postanowiwszy przenieść się po za kordon. Po roku 1783 książę Ksawery zawarł umowę z księciem Potemkinem, na mocy której, dobra ostatniego na Białej Rusi stały się własnością Lubomirskiego z dodatkiem mu jeszcze 4,000,000 rubli, a natomiast Potemkin został panem Smiły i wszystkich owych wsi i miast. Takim sposobem hrabstwo Dubrowniańskie przeszło w posiadanie Lubomirskich. Książę Ksawery osiadł w Dubrownie i tu urządził wspaniałą książęcą rezydencyją. Już za panowania Pawła I wypadło księciu Ksaweremu wyjechać do Petersburga. W Dubrownie została ulubiona jego córka Klementyna. Był już wtedy wdowcem, a miał za żonę Potocką, siostrę Szczęsnego. Polecił więc gubernatorowi swojemu Łuskinie, aby wszelkie rozkazy księżniczki Klementyny były najściślej wykonywane. Aby się panna nie nudziła, Łuskina uprosił brata swojego, marszałka, aby dał bal. Na balu tym w liczbie wielu gości było młody szlachcic Piotr Krojer. Bardzo przystojny, skromny, podobał się księżniczce. Zaprosić go kazała, aby z nią przetańczył. Tańczył cały wieczór. Piękny młodzieniec był bardzo dowcipny i jak na swój wiek okrzesany. Krew Ksawerego zaigrała w dziewicy. Postanowiła stargać więzy, które ją krępowały w domu rodzica. Ten wieczór rozstrzygnął losy Krojera. Umówili się. Nikt o niczem nie wiedział.

Nazajutrz późnym wieczorem otworzyły się drzwi od pałacu w Dubrownie ze strony ogrodu. Wszedł Krojer. Powiernica księżnej, która czekała na niego, zaprowadziła go do przygotowanego salonu, w którym już był ołtarz urządzony, stał zakonnik przybrany w szaty kościelne i dwóch poufnych świadków. Weszła księżniczka ubrana jak do ślubu i ślub najuroczyściej się odbył. A Łuskina o niczem nie wiedział! Ale go przywołano. Księżniczka kazała natychmiast wyliczyć znaczną summę pieniędzy, które gdy jej bezzwłocznie wręczono, zajechał powóz i młoda para odjechała do Mohilewa, gdzie państwo Krojerowie udali się pod opiekę gubernatora; młoda mężatka wyraźnie oświadczyła, że lęka się o życie swojego małżonka, któremu jej ojciec nigdy nie przebaczy.

Tymczasem Łuskina wysłał gońca do Petersburga donosząc księciu o wszystkiem co się stało. Pewnego dnia wrócił książę Ksawery do Dubrowny przed wieczorem. Dowiedział się o najdrobniejszych szczegółach wypadku, długo rozmawiał z domownikami i po wieczerzy udał się na spoczynek. Aż tu w nocy wybuchł pożar w klasztorze *i tylko w klasztorze*. Zgorzał on do szczętu z całym dobytkiem i ruchomością. Jakoby nikt nawet nie ratował. Co gorsza; dwóch zakonników znalazło śmierć w nurtach Dniepru, a w liczbie ich był i ten co ślub dawał. Inni zakonnicy ukryli się w lasach i w końcu znaleźli przytułek w innych klasztorach. W Dubrownie nie było więcej klasztoru, kościół został parafijalnym i księdza świeckiego osadzono.

Gruchnęła wieść po kraju o wypadku nocnym w Dubrownie. Wieść ta doleciała i do Petersburga, a obiła się aż o uszy cesarza Pawła. Jenerał-gubernator witebsko-mohilewski Patek, otrzymał rozkaz wykrycia prawdy. Udał się więc do Dubrowny do księcia Ksawerego i tu *przekonał się*, że klasztor spłonął w skutek niewiadomego nieszczęśliwego przypadku, a księża utonęli przez nieostrożność. Patek bawił tu tyle dni, ile było potrzeba aby doniesienie jego doszło do Petersburga. Dla uprzyjemnienia jego pobytu, grano w karty. Patek jakoby wygrał 100,000 rs.!

Dubrowna i dziś jest w posiadaniu Lubomirskich. W dobrach Dubrowniańskich pozostała pamiątka po księciu Ksawerym w licznych ogrodach. Lubił on bardzo ogrodnictwo, jakoż zmuszał wszystkich swoich włościan do zakładania ogródków przy chatach.

Teolin po śmierci ks. Ksawerego przeszedł do Fel. hr. Strutyńskiego, ożenionego z drugą córką ks. Ksawerego z Karoliną; po śmierci bowiem pierwszej żony z Potockich (siostry Szczęsnego), książę Ksawery ożenił się z Teofilą Rzewuską, córką hetmana Stanisława Rzewuskiego i księżniczki Radziwiłłówny, Katarzyny Karoliny (urodzonej z książąt Wiśniowieckich). [1]) Feliks hr. Strutyński (ojciec chlubnie znanego w piśmiennictwie naszem Berlicza Sasa), w r. 1812 przyjmował Napoleona w Teolinie, był prezesem I departamentu w Mohilewie i znakomitym wiolonczelistą. Teolin posiadał niemało arcydzieł sztuki. Była tu także i galeryja Miłoradowicza, zakupiona przez niego z galeryi Propojskiej Janczyna, o czem już wspominaliśmy, a którą po śmierci Miłoradowicza zakupił hr. Strutyński. Nie ma już dziś w Teolinie, ani tych zabytków sztuki, ani galeryi, a na miejscu gdzie stał pałac jest dziś stacyja kolei żelaznej. Teolin należy do dóbr rządowych.

Lubawicze przeszły na własność wspomnianego przez nas Piotra Krojera. Z owego potulnego, skromnego młodzieńca, Krojer stał się ekscentrykiem, dziwakiem, a w części awanturnikiem. Był on marszałkiem mścisławskim, znany był w całym kraju ze swego dowcipu i przygód najrozmaitszych. Niedawne to czasy, a wierzyć trudno jakich szaleństw i awantur dopuszczała się nasza szlachta. Dwa razy zwiódł całe sąsiedztwo i licznych duchownych, zaproszonych na pogrzeb i w trumnie siedząc spotkał ich szampanem. Możnaby tomy napisać samych anegdot o Krojerze. Syna jego, okrutnego dla włościan zamordowali dworscy ludzie.

Lubawicze, położone nad Berezyną długi czas słynęły z jarmarków (na Trzy króle przez cały miesiąc), na które przywożono towarów więcej jak za pół milijona rubli. Dziś jarmarki upadły zupełnie. Mieszka tu sławny rabin chasydów, do którego z dalekich stron zbierają się żydzi; rabin bowiem jednocześnie jest doktorem, prorokiem, sędzią, a za wszystko bierze grube pieniądze.

Dziś Lubawicze wróciły znowu do Lubomirskich. (d. n.)

---

[1]) Do Sapieżynej należał także i Janów pod Białą. Sławny był proces jej z ks. Mieńszykowym o 22,000 dukatów. Żałujemy, że nie mogliśmy jeszcze zebrać dokładniejszych szczegółów o tym ciekawym procesie. Takiejże summy domagał się Mieńszykow i od brata jej męża, hetmana polnego litewskiego.

[1]) Z Rzewuską się rozwiódł i po raz trzeci ożenił się z Maryją Lwowną Naryszkinówną, córką w. marszałka dworu.

WPŁYW WYCHOWANIA
na piękność ciała.

(Dokończenie).

Czy nie uśmiechnęlibyście się czytelnicy, gdybym wam powiedział, że zachodzi pewien związek pomiędzy szlachetnością postawy i froterowaną posadzką? A cóż?.. wszak prawda, że się już śmiejecie. Jeżeli weźmiemy chłopca z ulicy, dziecko zwinne i zręczne, które na wysoki słup wywoskowany łatwo wdrapać się potrafi, jeżeli chłopca tego ubierzemy w obcisłe kamasze na wysokich obcasach i każemy mu biegać po szklistej wyfroterowanej posadzce, nie zrobi on tego równie zręcznie, jak dziecko do posadzki podobnej przywykłe, a nawet przewróci się na pewno. Czyżby ten chłopiec chodzić nie umiał? owszem umie ale chodzi inaczej. Chód umiejętny dodaje powagi i szlachetności postawie i rzeczywiście jeżeli porównywać będziemy chód dwu chłopców, o jakich mowa, ale już po zwyczajnej ziemi, przekonamy się że chód tego drugiego przedstawi się daleko poważniej, chociaż chodzi się po ziemi w ten sam sposób co i po posadzce. W przykładzie jakiśmy tu wybrali uwydatniliśmy jednę tylko fizyczną przyczynę; wpływ zaś na postawę zawisł jeszcze od przyczyn innych, które nazywamy w ogóle formami lub sposobami obejścia się. Formy zewnętrzne obejścia, mają większe znaczenie, niż się to może wydawać uprzedzonym; są one również wyrazem inteligencyi. Nie uważamy za właściwe wykładać w tem miejscu teoryją tych form, bo ani mistrzami jesteśmy w tym względzie, ani rozbieranie ich szczegółowe nie wchodzi w zakres naszego przedmiotu; chcieliśmy tylko ich ważność wykazać. Oprócz tego, szlachetności postawie nadaje charakter człowieka, który się ujawnia przez formy zewnętrzne, a chociaż nie jest to prawidło niewzruszone, bo bywają ludzie najszlachetniejsi a niezdary, jak się to po prostu mówi, i przeciwnie ludzie o pięknych formach, a nie szlachetni—baczny jednak spostrzegacz dojrzy w tych ostatnich brak szlachetnej postawy.

Co do wzrostu, ten dodaje już tylko piękności lecz nie szlachetności postawie. Czy jest jaki sposób na to aby dziecko doszło do wzrostu pożądanego? Tu już higijeny się radzimy; normalny rozwój powinien zapewnić i wzrost potrzebny. Od siebie powiemy o jednym fakcie. Jeden z dwu braci, młodszy i niskiego wzrostu, który zarówno figurą swoją jak i krótkością szyi wcale nie zapowiadał wysokiego wzrostu, miał szczególne upodobanie noszenia wysokich, stojących a sztywnych kołnierzyków. Rzecz naturalna szyję musiał utrzymywać ciągle wyciągniętą, i szyja przedtem nader krótka i stosunkowo gruba, zdradzająca apoplektyczne usposobienie, wydłużyła się do stanu normalnego, a przytem zaczął rosnąć tak szybko, że będąc o cztery lata młodszym od brata, przerósł go i dziś jest wzrostu średniego. Istnieje prawo w przyrodzie że u zwierząt długość nóg jest zawisłą od długości szyi; ludzie niscy jakto łatwo zauważyć mają szyje krótkie. Stosując to prawo do człowieka, przypuszczamy że jeśli wpływamy na wydłużenie szyi, to przedłużymy i nogi nasze, które najwięcej na wysokość wzrostu wpływają.



Dzieci wiejskie. — Rysunek Stanisława Witkiewicza.

Głowa, siedlisko wszystkich zmysłów, i źródło inteligencyi, przedstawia zarazem największą rozmaitość pod względem piękności.

Kształt jej zasadniczy, jako zależący od przyczyn, które działały od wieków, nie może być zmienianym, chyba że chcielibyśmy używać sposobów dzikich: płaszczenia głowy dziecięcia za pomocą drewnianych ściskających futerałów, chociaż to wcale by się do piękności nie przyczyniło. Mimo to, zrobimy tu następujące uwagi. Piękność kształtu głowy zależy od stosunku objętości tej części głowy, która zawiera mózg t. j. właściwej czaszki, do objętości razem wziętych kości twarzowych. Im te ostatnie są większe, twarz jest brzydsza. Z kości twarzy największy wpływ mają kości tak zwane licowe, które czujemy poniżej oka, mianowicie między tym ostatnim i uchem—i szczęka dolna. Szczególniej wydatnemi licowemi kośćmi odznaczają się plemiona mongolskie i są też pod tym względem najbrzydsze. O wpływie naszym na mały wzrost tych kości mowy nawet być nie może, zresztą nie chodzi nam tu o Mongołów. Co się tycze dolnej szczęki łatwo zauważyć, że bywa ona silniej wystającą pomiędzy brodą a uchem, mianowicie bliżej tego ostatniego, t. j. w bliskości stawu, przez który się łączy z szczęką górną. Wystawanie to szczęki dolnej im jest większe, tym twarz ma kształt brzydszy, który gminnym, pospolitym, nazywamy. Rzeczywiście jest ono powszechniejsze w tak zwanej niższej klasie, a prawie nigdy w wyższej się nie zdarza, chyba tylko w skutek chudości twarzy. Obserwacyja nasza, że wielkość dolnej szczęki zdarza się w niższej klasie, jak również i ta uwaga, że organ jakiś powiększa się w skutek częstego, a głównie silniejszego jego użycia, prowadzi nas do wniosku, że szczęka dolna przez silne jej używanie mianowicie przy jedzeniu i mowie, powoduje powiększenie się jej. Wiadomo, że ludzie biedniejsi i nieoświeceni, jako używający mniej pożywnych pokarmów, a za to w większej ilości, muszą znacznie więcej i silniejszych poruszeń dolną szczęką wykonać (górna jest nieruchoma), a przytem mowa ich głośna i nieumiarkowana również do tego się przyczynia. Widzimy więc że pożywny pokarm, delikatność i umiarkowanie w mowie, może się do piękności kształtu twarzy przyczynić. Co do mowy, to podczas mówienia, głównie muskuły twarzy są w ruchu, a że te ostatnie znów, najbardziej na piękność twarzy wpływają, mowa więc, mianowicie sam język i jego użycie mają wpływ nader ważny. Szybka i dźwięczna mowa Francuzów wpływa na ruchliwość ich fizyjognomij. Pewien uczony oryjentalista, przebywając długi czas w Chinach, przez używanie chińskiej mowy zmienił do tego stopnia swoję fizyjognomiję, że nawet otwory oczu między powiekami przyjęły położenie ukośne. Żydówki przez zamiłowanie do ciągłej a głośnej mowy, nabierają w późniejszym wieku szczególnej wyrazistości rysów twarzy i ich brzydoty. Przekupki staromiejskie głównie pierwszej z dwóch cech nabierają, co już od natury samego języka zależy. Wnosimy zatem, że szybka, głośna, nieumiarkowana i bezmyślna mowa do brzydoty twarzy się przyczynia.

A teraz kilka słów o właściwej czaszce

mózg zawierającej. Wiadomo, że u małych dzieci część ta stosunkowo znacznie jest rozwiniętą; wysokość czoła u małych dzieci, bywa czasem taką jak wysokość twarzy od oczów do brody, czyli połowę długości całej twarzy zajmuje. U dorosłych czoło jest mniej więcej trzecią częścią tej długości, z czego wypada że stosunkowa jego wielkość jak objętość czaszki zmniejsza się do pewnego wieku. Pochodzi to stąd, że u dziecka inteligencyja nie rozwija się w takim stopniu jak ciało. Można przyjąć za prawo ogólne, że przez rozwój inteligencyi wysokość czoła się powiększa; a jakkolwiek będzie dosyć wyjątków, będą to wyjątki tylko. Wysokość czoła dodaje szlachetności fizyjognomii, szczególniej u mężczyzn.

Od czego zawisł kolor włosów i oczów tego nie wiemy wcale.

Piękne zaokrąglenie brody i klasyczna linija nosa, trafiają się u osób wyższego stanu, ale w skutek jakich przyczyn? Chyba w skutek ogółu warunków wśród których one żyją.

Grube usta i wielkie zęby są powszechnemi u żarłoków lub leniwych; unikając tych wad od dzieciństwa, zapobiegniemy zbytniemu rozwijaniu się tych organów.

Wielkie uszy, według pospolitego mniemania mają być dowodem braku zdolności. Może w tem jest trochę racyi; zobaczmy. Jeśli siły życia są skierowane na kształcenie wszystkich zmysłów, to każdy organ rozwija się normalnie; jeżeli kształcenie to jest zaniedbanem, to zasób sił zużywa się na rozwój niepotrzebnych mięśni i stąd nadmierny rozwój uszów, który zresztą wcale na dobroć słuchu nie wpływa. Może nasze objaśnienie jest błędnem, musimy jednak dodać, że rzeczywiście zauważyliśmy u kilku wielkouchych indywiduów wielki brak zdolności.

W ogóle twarz będzie miała rysy więcej zaokrąglone, jeśli w dziecku rozwijać będziemy charakter łagodny; ostre, jeśli charakter wyrobi się zgryźliwy; będzie posiadać właściwą sobie wyrazistość, jeżeli dziecko nabędzie pewnych odrębnych zalet lub wad, jakiemi są: silna wola lub wspaniałomyślność, zazdrość lub skrytość i t. p.

Ręce i nogi przy normalnym rozwoju są proporcyjonalne do reszty organizmu, a zatem ani za małe ani za wielkie. W skutku pracy fizycznej powiększają się; przez nieużywanie, maleją albo raczej niedorastają do normalnej wielkości. Maleńkie ręce i nogi, według nas, nie są wcale pięknemi, wytwarza się je przez krępowanie od dzieciństwa nóg ciasnym obuwiem, rąk rękawiczkami. Ściskanie takie organów tych ma niezaprzeczony wpływ na wzrost, który w tym razie jest mały. Osoby dobrego wzrostu mające małe bardzo ręce i nogi, spędziły na pewno życie w bezczynności. Należy pamiętać że wszystko cośmy tu powiedzieli, stosujemy tylko do większości wypadków, wyjątki są wszędzie i zawsze, ale o wyjątkach nie mówimy.

Z tych krótkich uwag daje się i to jeszcze zauważyć, że na piękność ciała wpływają po większej części te same czynniki, które i do wyrobienia się pięknego charakteru pomagają. Przy nader jednak urozmaiconych warunkach życia, będących skutkiem cywilizacyi, a zatem sztucznych, mogą się wytwarzać postacie piękne i brzydkie w sposób całkiem inny, ale już mniej normalny. Dla tego też nie było przesadą stare rzymskie przysłowie: „zdrowa dusza w zdrowem ciele,“ a z pewnością powstało ono wcześniej niż w epoce zepsucia starożytnego świata. Czy możebnem jest jednak abyśmy dziś doszli do tak pięknych typów ludzkich jak Wenus i Apollo? Nam się zdaje, że nie. W Grecyi prawodawstwo dopomagało do piękności rasy ludzkiej w sposób na którego użycie dzisiejsza cywilizacyja pozwolić nie może; sposób ten był prosty: polegał bowiem na zabijaniu potwornych dzieci, lecz dziś w tym zmateryjalizowanym wieku, ludzie więcej cenią prawa moralne, więc i prawo do życia.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Odessa, 9 (21) listopada 1875 r.

Nie będziecie zapewne mieli pretensyi do mnie, szanowni czytelnicy, że zanim zacznę wam nadsyłać peryjodyczne sprawozdania z tutejszego ruchu, zanim podsłucham i policzę drgania życiowych pulsacyj Odessy, zanim ssąduję świeżo-otwartą — niedaj Boże śmiertelną dla tego miasta ranę, — *stagnacyją handlu*, i wprowadzę was w tutejsze społeczeństwo, tyle charakterystycznych i nowych dla nas posiadające rysów, naszkicuję wam przedewszystkiem sylwetkę samego miasta, tło tego wspaniałego obrazu, jaki przedstawia europejskie, czysto kosmopolityczne mrowisko, rzucone genijalną ręką ks. de Richelieu na wybrzeża starego Pontus-Euxinus.

A uczynię to dla kilku równie ważnych przyczyn. Najprzód, czytelnicy „Opiekuna,“ nie mieli dotąd w tem piśmie korespondencyj z Odessy; powtóre sam korespondent przybył zaledwie tu przed kilku tygodniami poraz pierwszy w życiu, a więc pod świeżem jeszcze pozostaje wrażeniem, i najcharakterystyczniejsze a różne szczegóły z któremi dawni mieszkańcy obyci są, jemu rzucają się w oczy; nakoniec, ma jeszcze dużo czasu ażeby was i siebie wtajemniczyć w tutejsze stosunki Możemy więc poczynać sobie systematycznie, *langsam*, po niemiecku, bo teraz niemcy górą, nawet i w Odessie [1]).

Warszawiak czystej krwi (a rozumiemy przez to stworzenie należące do rzędu ssących, zdolne oddychać wszystkiemi mniej lub więcej cuchnącemi gazami, prócz czystego powietrza), po przybyciu do Odessy musi odbyć bezwarunkowo pewien rodzaj kwarantanny, niepozwalającej mu przez dni parę wyjrzeć na świat boży ze swego numeru w hotelu. Świeże bowiem, ostre morskie powietrze, nabawia go kataru, fluksyi i bólu gardła, zanim nauczy się, oceniać ten nieznany mu dar boży, i zanim jego płuca przyzwyczają się niem oddychać. Wtedy dopiero bez narażania swego drogocennego zdrowia może nasz turysta puścić się w wędrówkę po mieście, a przypuściwszy że ma wyobrażenie o grze w szachy, łatwo mu przyjdzie uniknąć losu tego szlagona, co to w Wiedniu nie mógł trafić do swego hotelu. Założyciele bowiem Odessy, nie zbyt suszyli swe głowy nad planem miasta.

A działo się to w pewnym uczonym gabinecie pewnego uczonego męża. Roztrząsano rozmaite projekta zbudowania, rozległości i warunki przyszłej świetności miasta. Książę nieboszczyk Richelieu, tylko nie kardynał na miłość boską! znudzony tą gadaniną, która spowodowała że tylko co przegrał z angielskim posłem partyją szachów, zrzucił jednem poruszeniem dłoni wszystkie pionki z szachownicy, szachownicę pchnął na stół między biesiadujących i zawołał: Oto wasze miasto! I zbudowano szachownicę, i nazwano ją Odessą, a Richeulieu jako dobry szachista, grał na swej ogromnej szachownicy przez lat kilkanaście, aż mu po śmierci wystawiono spiżowy pomnik na bulwarze, wprost wspaniałych schodów wiodących na brzeg morskiej zatoki.

Oto jest geneza, bo teraz wszystek początek modnie jest chrzcić *genezą*, jeżeli nie ściśle historyczna, to niemniej indukcyjnie pewna, naszej Odessy.

Czem zostałem z samego początku mego tutaj pobytu zdziwiony, to brakiem... *rynsztoków* na ulicach miasta. Ależ to niepodobna. Przecieram oczy, szukam binokli, których dotąd jeszcze nie używam, pomimo że mam równie dobre oczy, jak każdy czystej krwi Warszawiak, niepokazający się bez nich na ulicę, lecz o dziwo! rynsztoków ani śladu. Istnieją więc miasta w których kanalizacyja nie jest tylko codzienną i tygodniową strawą, wszystkich codziennych i tygodniowych dzienników! W których cuchnące pomyje i błotniste strumienie, płyną gdzieś po pod miastem do morza; w których nie łamiesz nogi na zgniłych mostkach, i nie trujesz się tak dobrze jedząc jak wdychając tak zwane powietrze! Warszawiaku czystej krwi, nie wierzysz—czuję to. Posądzasz mnie, że dla tego żem wyjechał za rogatki, to już mam cię za bajbardzo i moroczę cię baśniami z tysiąca nocy. Cóż powiesz, gdy zacznę ci opowiadać, jak to tutejsza municypalność nie mając wody słodkiej w mieście, sprowadziła ją sobie aż z Dniestru i jak wszystkie domy, każde mieszkanie, każda wygodka i kiosek, czy to w ogrodzie czy w bulwarach mają ją dziś na zawołanie; myją się od rana do nocy, płuczą się i pluszczą, że aż się serce raduje! Choć temu łatwiej już uwierzycie, nadwiślańskiego grodu czytelnicy, boć i wasze cztery fontanny, czasem częściej niż cztery razy do roku widzą wodę w swych basenach...

Nie sądźcie przeto żebym sadził się na apologiją dla tutejszej municypalności, lub łatkę komuś innemu chciał przypiąć. Broń Boże.

Nie będę nawet należał do wyborców członków *dumy* czy rady miejskiej w Odessie. To jedynie, co mi się rzuciło w oczy na wstępie mego tutaj pobytu, wiernie wam streszczam.

W ogóle, Odessa robi na turyście wrażenie czegoś nowego, zupełnie oryginalnego. Nie mówiąc już o pomieszaniu języków, niezawodnie niemniejszem jak pod wieżą Babel, sam już zewnętrzny pozór miasta, da się chyba porównać do tych nagle, świeżo powstających

[1]) Notabene liczę tu tych co mówią niemieckim zepsutym żargonem, bo ci to właśnie górą w Odessie.

miast Ameryki północnej. Odessa jest rzeczywiście świeżo upieczonem, najnowszem miastem w Europie, niewyjmując Petersburga. Domy jak z igiełki, a wszystkie z kamienia, i jeżeli z pozoru niekażdy wygląda na pałac, to wewnętrzne każdego urządzenie odpowiada najwyszukańszym wymaganiom komfortu i zbytku. Oryginalne też są magazyny zbożowe budowane tak samo z kamienia, dające się widzieć nawet w środku miasta, i tak mądrze wzniesione, że w razie potrzeby natychmiast można z nich urządzić domy mieszkalne. Okna tylko bez szyb, zamknięte dębowemi okienicami i zaryglowane drzwi, wskazują nam że to *ambar* nie dom.

Smutne jednak w tym roku robią wrażenie te olbrzymie magazyny, stanowiące całe bogactwo Odessy. Handel wywozowy nagle się zmniejszył, i miasto które z niego jedynie żyło, ujrzało się nad brzegiem przepaści, na dnie której, zarysowały się mgliste kontury trybunału handlowego (kommerczeskij sud) i stosy protestowanych weksli.

Jest nadzieja jednak że jeden i drugi rok urodzajów na Podolu, a suszy za granicą, ożywi znów Odessę. Tymczasem puknął sobie jeden i drugi zrospaczony kupiec, zamiast szampanem kulką w łeb; jeden i drugi czmychnął zagranicę, miasto miało o czem kilka dni mówić, i znów cisza...

A, przepraszam, cisza nagle została przerwaną dwoma wypadkami. Jeden z bogatych obywateli ziemskich, marszałek powiatowy Świeczyn, w przystępie melancholii widocznie, a pod wpływem najokropniejszej słoty i wichru; wpływ ten to nie żarty, wyszedł sobie na spacer na bulwar, i zastrzelił się tu w najpiękniejszem miejscu Odessy. Chodzą pogłoski że ktoś mu się przysłużył. Dotąd sprawa nie wyświecona.

Drugi znów amator nie przechadzek, lecz sztuk pięknych, dojrzał że najpiękniejsze sztuki, posiada bogata *riza* jednego z obrazów w tutejszym soborze. Piękne, bo prawdziwe brylantowe. Nieszczęsny nie mógł przezwyciężyć uczucia które owładło nim na ten widok. Miłość sztuki, uniosła go aż do wysokości ołtarza; ha! niestety, w tak prozaicznym i handlem tylko żyjącym grodzie, na prawdziwym amatorstwie *prawdziwych* sztuk pięknych poznać się nieumiano, i przypadkiem pochwyconego na miejscu artystę, oddano w ręce policyi.

Zaledwie zdążyłem zanotować tych parę faktów z tutejszej kryminalnej kroniki, sądząc że dla podkolorowania korespondencyi, dość ich będzie na dzisiaj, aliści mój sąsiad z pierwszego piętra, młody człowiek, skończony prawnik, który przed paru tygodniami ożenił się i do tego bogato, poszedł sobie wczoraj wieczorem o godzinie piątej do łaźni p. Bukowieckiego i tam z najzimniejszą krwią roztrzaskał sobie głowę kulą z rewolweru. Znaleziono przy nim trzy listy, do żony, krewnych i władz policyjnych, których treść nie wyjaśnia wcale pozytywnej przyczyny samobójstwa, prócz pewnego zniechęcenia do życia.

Ciężkie zaprawdę to życie, jeżeli tacy ludzie, jak młody L**, posiadający wszystkie warunki szczęścia, przychodzą do przekonania że nie pozostaje im, jak tylko powędrować jak najprędzej na łono Abrahama. Był on synem Czarnogórca, który wszedłszy do wojskowej ruskiej służby, dosłużył się rangi pułkownika. Posiadał nawet mająteczek, lecz go stracił i umarł trzy tygodnie temu, pozostawiwszy synowi w spuściźnie dobre imie i dobre wychowanie. Młody L**, ukończył w Odessie kurs prawa i przed dwoma tygodniami, w tydzień po śmierci ojca, ożenił się z panienką z domu K**, jak już wspominałem majętną i bardzo dobrze wychowaną. Co mogło spowodować do odebrania sobie życia? Jeżeli się dowiem, doniosę wam w następnym liście.

A teraz na zakończenie, pozwólcie sobie powiedzieć łaskawy redaktorze „Opiekuna“ żeście powtórzyli za panią matką pacierz, wypisując z jakiegoś zagranicznego dziennika, przesadzone pochwały piękności księżnej Milanowej serbskiej. Jest ona przystojną brunetką, z namiętnemi ustami i oczyma pełnemi ognia, ale to zwyczajny mołdawski typ. Najbardziej jednak zabawiło mnie wyrażenie, że posiada, „dumę właściwą jej rodowi.“ Panna Gieczko, dzisiejsza księżna Serbii jest sobie córką zbogaconego mołdawskiego ziemianina z tutejszych okolic, któremu trudno by było pomimo kilkunastu milijonowego posagu, jaki dał swej córce, usprawiedliwić pargaminami ową rodową dumę. Z tem wszystkiem jest to osoba bardzo wykształcona, barddo skromna i bardzo sympatyczna. Maluję właśnie jej portret i posyłam wam dla ciekawości jej i ks. Milana fotografije.

Henryk Filipowicz.

NASZE PODRĘCZNIKI

do nauki historyi powszechnej.

dalszy ciąg.

Zebrawszy w jedno uwagi, poczynione nadróżnemi podręcznikami do historyi powszechnej, spostrzegamy fakt uderzający. Prace oryginalne nie posiadają prawie żadnych zalet pedagogicznych. Wszystkie, jakieśmy rozpatrywali, mają tę wspólną i kardynalną wadę, że nie umieją się utrzymać na stanowisku najwłaściwszem i albo gubią się w szczegółach chronologiczno-dynastycznych i strategicznych, albo też stają się martwą listą panujących. Nie ułatwia to nauki dziejów, ani do niej zachęcić może. Rozmijając się z owym najgłówniejszym pewnikiem, o którym jużeśmy wspomnieli, że podręcznik winien być treściwy ale i barwny zarazem, popełniają ich autorowie jeszcze drugi nie mniej ważny błąd, a mianowicie ten że piszą je w takich rozmiarach, iż niepodobna orzec, jaki wiek i jakie uzdolnienie młodzieży mają na względzie. Wyobraźmy sobie, że mamy rozpocząć naukę historyi z dzieckiem, które poraz pierwszy przystępuje do obznajmienia się z dziejami, i zadajmy sobie pytanie, która z wymienionych prac oryginalnych będzie najprzydatniejszą w tym razie? „Krótki zarys“ Zdanowicza (wyd. 1872), byłby może najstosowniejszy, gdyby choć cokolwiek posiadał treści historycznej. Ale Zdanowicz przedewszystkiem chce, aby dziecko doskonale się wprzódy nauczyło chronologii, a nawet dla ułatwienia nauki dodaje tablice, ułożone według metody Jaźwińskiego. Ha! mniejsza o to; możnaby wreszcie rozpocząć od chronologii, w ten sposób jak to robią wprawdzie bony i guwernantki francuski; lecz czyż ta chronologija, którą Zdanowicz podał, jest istotnie warta tego, aby się nad nią dziecko mozoliło? Jest to najskrupulatniej ułożona lista wszystkich monarchów całego świata, i nic więcej. Tego z jednej strony za wiele, z drugiej za mało. Można było wybrać kilkadziesiat ważniejszych dat, jeżeli już o to chodziło, aby dziecko przedewszystkiem utworzyło sobie pewne rusztowanie dziejowe. Ale rusztowanie Zdanowicza przeznaczone jest widocznie do tak olbrzymiego gmachu, iż można w nim zabłąkać się jak w labiryncie jakim! Obok chronologii, jak gdyby w dodatku, został podany kruciuchny rys historii, którego wartość da się streścić w ten sposób, że autor „Krótkiego zarysu“ w tej części swej pracy podał w przekładzie głoskowym to, co wpierwszej wypisał cyframi. Kto tedy ma odwagę, niech tę pracę przeznaczy dla początkujących! Inne podręczniki Zdanowicza, a mianowicie „Historyja powszechna dla młodzieży“ w dwóch tomach sporych, rozmiarami swojemi przechodzi siły początkujących. Dla starszych adeptów jest także mało użyteczna, bo prócz tego że jest oschła, traktuje przedmiot po dziecinnemu, jeżeli tak się wyrazić można. Nie wiele pomogły nawet uzupełnienia pana W. Grochowskiego, z któremi tom pierwszy powtórnie został wydany w roku 1871. Trudno bo też zaiste wlać ducha w te szkielety, nie wyrzucając z nich niepotrzebnych kości! A jest ich tak wiele, iż prędzej by się dało coś nowego napisać, niż je ożywić.

Większość podręczników tłómaczonych, także niezdecydowanej jest barwy względem wieku młodzieży, prawdopodobnie skutkiem przesadzenia na grunt obcy, gdyż niepodobna przypuścić, aby np. w Niemcech, gdzie podręczników historycznych istnieje moc nieprzeliczona, prace nie odpowiadające wymaganiom i nie dające się zużytkować, mogły się doczekać po kilkanaście wydań. Widocznie inny tam system nauczania. W każdym jednak razie, nie wielka stąd dla nas pociecha, że i tłómaczenia są często niepraktyczne. Zachodzi tu bowiem wielka jeszcze różnica pod względem naukowym. Nasze prace oryginalne, starając się zastosować do poziomu uzdolnienia młodzieży, nie tylko że celu pedagogicznego wcale nie osiągają, lecz nadomiar nieszczęścia nawet materyjału dziejowego nie umieją zużytkować tak, jak tego wymaga nauka. Czytając nasze oryginalne podręczniki, mimowoli nabiera się przeświadczenia, że ich autorowie o historyi bardzo słabe mają wyobrażenia. A przecież jeżeli nie wartość pedagogiczna, tedy przynajmniej naukowa powinnaby je zalecać. Bo i na cóż w przeciwnym razie pisać je i drukować? Dla kogo będą one przydatne? Tymczasem zwykle bywa tak, że wszystko to, co obecnie stanowi najgłówniejszą niemal stronę nauki, zbywa się pobieżną wzmianką lub zupełnem pomija się milczeniem; żadnego wycieniowania materyjału dziejowego, ze względu na jego większą lub mniejszą doniosłość historyczną. Podrostek, któryby na-

przykład, doszedłszy do pewnej dojrzałości umysłowej, chciał obznajmić się z dziejami ludzkości chociaż najpobieżniej, jaki stworzyłby ich obraz i jakie wyrobiłby sobie wyobrażenie o nauce historyi, gdyby czerpał wiedzę historyczną z któregokolwiek podręcznika naszego? Kilka bajeczek, skreślonych nieudolnie, mnóstwo nazwisk i dat, albo też chaotyczne nagromadzenie szczegółów ważnych i podrzędnych, oto i wiedza historyczna! W tem samem położeniu znajduje się i uczeń, posługujący się owemi podręcznikami; a jeżeli nie poprzestając na wiadomościach jakich z nich nabędzie, zapragnie wykształcenie swoje posunąć dalej, dowie się ze zdziwieniem, że większa część tego, czego się uczył w pocie czoła, nie na wiele mu się przydaje, i nawet często zupełnie bywa zbyteczne. Niektóre szczegóły zawadzają mu na każdym kroku i musi je wprzód wyrugować z pamięci. Że istotnie tak bywa, przekonać się może każdy; niech tylko przystąpi do wykładu historyi takim młodzieńcom już „przygotowanym.“ Będzie miał wtedy do rozwiązania zadanie nie lada i po długim namyśle przekona się, że wprzód musi sam sobie na nowo ucznia jeszcze „przygotować.“ Trzeba tu sobie radzić w sposób niepraktykowany w żadnej innej nauce. Bo proszę mi wskazać naukę, której gruntowniejszy wykład wymagałby tego, aby uczeń przedewszystkiem zapomiał tego, czego się już nauczył a przynajmniej aby wiadomości początkowe nie przydały się na nic. Zaiste nie łatwo byłoby odszukać podobnych wypadków chyba tylko w historyi, jeografii, i nauce języka polskiego. Czy to się zgadza z przeznaczeniem pedagogii, śmiemy powątpiewać. Żadna chyba teoryja pedagogiczna nie wymaga tego, aby początkowe nauczanie było tak prowadzone, iżby je w dalszym ciągu należało zaignorować. Przeciwnie, żadna chyba wiadomość nabyta przez ucznia nie powinna pozostać kapitałem martwym. Praca ucznia powinna być organiczną, niech jedno wypływa z drugiego i opiera się na niem.

Zrobi kto może uwagę, że podobnego rodzaju wymagania nie dadzą się pogodzić z początkowym wykładem historyi. Odpowiedź na ten zarzut, zaprowadziłaby nas zbyt daleko. Okazałoby się może, że ściślej rzecz biorąc, należał oby zmienić dotychczas praktykowaną metodę uczenia dziejów; okazałoby się, że podręczniki nasze w znacznej części dla tego właśnie chybiają celu, że je krępują rozmaite względy tej metody. Zgadzamy się, że pogodzenie to przedstawia trudności, ale nie takie, którychby pokonać nie było można. Wszak tu chodzi raczej o przygotowanie takiego materyjału któryby się mógł przydać i przy dalszej, gruntowniejszej pracy, a czyż w dziejach ludzkości mało stron, które dostarczają go w nieprzebranej obfitości? Trzeba tylko umieć go wybrać a następnie w sposób łatwy opowiedzieć. Zdanowicz miał talent przystępnego wysłowienia się. Tego właśnie potrzeba, a w dodatku umiejętności ożywienia wykładu i zainteresowania młodego czytelnika. Dla czego karmić go tylko takiemi faktami, które będąc mało przydatnemi na przyszłość, wymagają jedynie pamięci, pracy bezmyślnej i odstręczającej?

Z młodzieżą już „zaawansowaną“ czyli przygotowaną“ do poważniejszego wykładu dziejów rada nieco łatwiejsza. W najgorszym razie można się posługiwać dziełem Poplińskiego. Nie jest to praca bez wartości, chociaż już nieco przestarzała i zaobszerna. Potrzebaby ją koniecznie zastąpić czemś nowszem, ale niestety, czem? Wprawdzie do dziejów średniowiecznych przed kilku laty wydał p. T. Korzon „Kurs historyi wieków średnich,“ pracę sumienną i gruntowną, ale prędzej przydać się mogącą dla nauczyciela, niż dla ucznia. Jak dla tego ostatniego, zdaniem naszem na obszerna. To też nie będziemy jej oceniać w niniejszem sprawozdaniu. Z kłopotu co do starszych uczniów w znacznej części mogą wybawić nauczyciela podręczniki tłómaczone, których zalety i braki ze względu na zastosowanie już eśmy zaznaczyli. Z nich Pütza „Historyja powszechna“ pomimo zwięzłości, może być pożyteczną do pewnego przynajmniej stopnia. Waltera „Dzieje powszechne,“ dla barwności opowiadania, mogą być z korzyścią czytane zwłaszcza przez panienki, obznajmione już nieco z historyją. Z pewnością, daleko większą odniosą korzyść, niż z czytania pracy Hoffmanowej. Jako podręcznik, są „Dzieje,, zbyt rozrzucone i nietreściwe. W ogóle, podręczniki tłómaczone (z wyjątkiem może Dytmara) jeżeli nie zupełnie, albo zgoła nie odpowiadają wymaganiom pedagogicznym tedy przynajmniej umiejętnem obrobieniem, przedmiotu zalecają się. Jest w najgorszym razie materyjał trwały i cenny, jakkolwiek nie zawsze i nie wszędzie. Tego, co w nich się zawiera, ani nauczyciel przy wykładzie, ani uczący się ignorować nie może.

Po tem cośmy powiedzieli, zdawałoby się, że potępiając tak ryczałtowo prace nasze oryginalne na polu literatury historyczno-pedagogicznej, surowość sądu posuwamy zbyt daleko. Niestety, tak nie jest! Zdanie któreśmy tutaj wypowiedzieli, nie jest głosem indywidualnego przekonania; podzielą je wszyscy ci, którzy z natury swych zatrudnień mają do czynienia z książkami dla młodzieży, a jednocześnie rozumieją naukę dziejów. Podzielą je niewątpliwie i tacy, którzy nie będąc w położeniu tamtych, interesują się z jakichkolwiek pobudek sprawą wykształcenia młodzieży naszej. Jak jedni tak i drudzy czują dotkliwie brak podręczników lepszych od tych, które istnieją. Są nawet tacy, którzy seryjo myślą o zaspokojeniu tej potrzeby... Mamy nawet niektóre prace zapowiedziane; inne zaczynają już wychodzić. Nie przeceniając tego co dopiero przyszłość okaże, zobaczymy, o ile słusznym wymaganiom czynią zadosyć te dziełka, które już opuściły przynajmniej częściowo prasę drukarską. d. n.

GAWĘDY HIGIJENICZNE I LEKARSKIE.

XVI.

Warunki życia i zdrowia.

z Prof. i D-ra Beck,a podał St. W. Łukowski.

Życie i zdrowie wtedy tylko są możebne, kiedy odżywianie odbywa się wewnątrz naszego ciała prawidłowo we wszystkich, nawet najmniejszych częściach, t. j., kiedy każda ze składowych cząstek naszego ciała, będąc przez pewien czas czynną i wreszcie zużytą, odnawia się bezustannie. Odżywianie to, a raczej odnowa zużytych (obumarłych) cząstek składowych naszego ciała, zowie się, jak to wiadomo z poprzedniej (XV) gawędy, *przemianą materyji*. Rzeczona przemiana odbywa się za pomocą krwi, która wewnątrz żył krąży po wszystkich częściach naszego ciała, i podczas swego powolnego biegu w tak zwanych naczyniach włoskowatych, wydziela ciągle przez ścianki tychże naczyń (na mocy prawa przesiąkania) do przyległych tkanek, nowy materyjał odżywczy, oraz zabiera i unosi stare, zużyte cząstki. Tak więc, główny warunek podtrzymania życia i zdrowia polega na tem, ażeby krew bezustannie krążyła po wszystkich częściach naszego ciała (obieg krwi). Samo przez się rozumie się, że krew powinna zawierać w sobie wszystkie materyje, niezbędne do odnowy naszych narzędzi. Materyje te, jak to bliżej wyjaśniliśmy w poprzedniej (XV) gawędzie, otrzymuje krew ze świata zewnętrznego, mianowicie z pokarmów i napojów, które, po przerobieniu w przyrządzie trawienia, zamieniają się w części na ciecz odżywną, przechodzącą do krwi. Jednocześnie z przybyciem do krwi nowego materyjału budowlanego, zostają z niej wydalone w różnych miejscach (za pośrednictwem skóry, wątroby, nerek, płuc) materyje zużyte, tak, że i sama krew również podlega bezustannej odnowie i obumieraniu (nowotworzenie się i oczyszczanie krwi). Ciągła ta, konieczna zresztą do życia i zdrowia, zmiana krwi, może mieć miejsce tylko przy współudziale tlenu powietrza atmosferycznego; ten zaś ostatni doprowadzonym zostaje do krwi za pomocą sprawy oddychania płuc, gdzie służy nadto do wywiązania ciepła zwierzęcego czyli właściwego naszemu ciału. A więc powietrze! powietrze! i jeszcze raz powietrze! szczególniej czyste, dobre powietrze do oddychania, oto rada, którą należy codziennie powtarzać nie tylko chorym, lecz i lekarzom. Czyste, wolne i świeże powietrze, jest głównym warunkiem zarówno względem utrzymania zdrowia, jak i usunięcia chorób. Brak dobrego powietrza, zwłaszcza w sypialniach, w pokojach zajmowanych przez osoby chore, w gabinetach i warsztatach, oto przyczyna tylu chorób prześladujących tegoczesny rodzaj ludzki. Pokarm i napój, jakkolwiek byłyby pożywnemi, nie przyniosą żadnego pożytku przy braku dobrego powietrza.

Cóż zatem podtrzymuje życie i zdrowie w naszem ciele? Oto posiadająca stosowny skład zdrowa krew, t. j. taka, któraby z jednej strony była ciągle odnawianą dobrym pokarmem i świeżem powietrzem, z drugiej zaś, krążąc bezustannie po naszem ciele oczyszczałaby się w odpowiedni sposób z części zbytecznych. Zarówno na tworzenie się krwi, jak i na jej bieg, największy wpływ wywiera działalność przyrządu oddychania naszego ciała. Pomieniony przyrząd czynnym jest w ciągu dnia i nocy bez udziału naszej woli. Zresztą podlega on tej ostatniej do pewnego stopnia. Przyrząd oddychania składa się z klatki piersiowej i jej mięśni, z dróg powie-

trznych (jama ustna i nosowa, krtań i tchawica ze swemi rozgałęzieniami) oraz z płuc jako zbiorników powietrza.

Klatka piersiowa, stanowiąca górną część tułowia, leżącą poniżej szyi, złożona jest od tyłu z 12 kręgów grzbietowych, z boków z 24 żeber (po 12 z każdego boku), a od przodu, z mostku i chrząstek żebrowych; w jamie swej (w jamie piersiowej) zawiera ona, oprócz większych (krwionośnych i lymfatycznych) naczyń oraz nerwów, serce (ośrodek krwi obiegu) i płuca (główne narzędzia sprawy oddychania). Klatka piersiowa może być wprowadzoną w ruch za pomocą silnych mięśni, podobnie, jak miech kowalski, t. j. jama jej może się rozszerzać i zwężać. Podczas życia, ruch ten trwa ciągle, z małemi tylko krótkiemi przestankami, i prawie zupełnie mimo naszej woli. Lecz, jak to już wspomnieliśmy, wola może wywierać pewien wpływ na ruch klatki piersiowej, gdyż mięśnie kierując ruchem owej klatki, znajdują się za pośrednictwem nerwów, w ścisłym związku z naszem narzędziem woli (mózgiem). Wpływ rzeczony może być tym znaczniejszy, im bardziej nauczymy się, za pomocą odpowiednich ćwiczeń, kierować dowolnemi nerwami oddychania i mięśniami. Nie każdy człowiek potrafi tak mocno, głęboko wdychać i wydychać powietrze, jak potrzeba; należy się tego wprzódy wyuczyć, zarówno, jak każdej innej czynności mięśniowej (skakania, tańca i in.).

Przy wdychaniu (inspiratio) jama piersiowa rozszerza się, t. j. żebra podnoszą się w górę i opadają w skutek skurczenia się mięśni oddychania; mięsiste, wypukłe dno klatki piersiowej (czyli przepona) staje się płaskiem i opada na dół, i wtedy dzieje się tutaj mianowicie to samo co ma miejsce przy rozciąganiu (rozszerzaniu) miechu kowalskiego. Wszystko, co znajduje się przed otwartym wchodem tego przyrządu, t. j. powietrze, ciecze i stałe ciałka, zostają weń wessane. Tym sposobem, jama piersiowa przy swem rozszerzaniu wciąga nie tylko powietrze wraz z jego przymieszkami (przez usta, nos, krtań tchawicę do płuc), lecz i krew żył większych (głównych żył), które z górnej i dolnej połowy ciała wchodzą do jamy piersiowej oraz do serca. Rozszerzanie klatki piersiowej, przyspiesza prawdopodobnie i bieg krwi z prawego serca do płuc. Potem następuje wciągnięcie znajdującego się w przewodzie piersiowym mlecza i lymfy, w skutek czego, pomienione odżywiające krew ciecze, łatwiej mogą przejść do krwi. Powtórzmy więc w krótkości, jak ważny wpływ wywiera wdychanie na nasze życie, zwłaszcza póki ono bywa silne, dość głębokie i powolne (jak podczas snu). Doprowadza ono do płuc powietrze, przyśpiesza wejście krwi do piersi i płuc, ułatwia wlanie się materyi odżywczej (mlecza i lymfy) w strumień krwi, i tym sposobem, zapobiega zastoinom i nagromadzeniu się owych cieczy (krwi i lymfy), szczególniej w jamie brzusznej; wspiera zatem ono nowotworzenie się i oczyszczanie krwi (zwłaszcza w wątrobie i śledzionie).

Przy wydychaniu (expiratio) jama piersiowa zwęża się, t. j. mięśnie oddychania przestają się kurczyć, słabną, żebra i mostek z powodu swej ciężkości opadają. Przytem, ściany klatki piersiowej uciskają przedewszystkiem płuca, przez co, usuwają z nich część dawnego powietrza, zanieczyszczonego wydzielonym ze krwi, szkodliwym kwasem węglanym. Jednocześnie odbywa się ciśnienie na naczynia krwionośne; a ponieważ wewnątrz tych naczyń znajdują się zastawki, nie dozwalające krwi płynąć wstecz, musi więc ona płynąć naprzód, co naturalnie ułatwia obieg krwi. Wydychanie więc, wywiera również ważny wpływ, jak i wdychanie na oczyszczenie krwi oraz na jej obieg.

Ruchy oddechowe klatki piersiowej nie pozostają także bez ważnego wpływu na brzuch. Przyspieszają one w skutek kolejnych ruchów mięśni brzusznych i przepony, ruch zawartości żołądka i kiszek (miazgi pokarmowej, odchodów i gazów), krążenia mlecza, krwi i lymfy. Dla tego też, przy cierpieniach brzusznych (szczególniej hemoroidalnych), prawidłowe i mocne wdychanie czystego powietrza, bywa daleko pożyteczniejszem od wszelakich lekarstw, nawet od siarki, tyle ulubionej przy owych cierpieniach zarówno przez homeopatów, jak i aleopatów.

W obec tego, cośmy wyżej powiedzieli, nie trudno zapewne pojąć, dla czego ruchy klatki piersiowej, działające przy wdychaniu i wydychaniu na podobieństwo pompy ssąco-tłoczącej, okazują się tak niezbędnemi do utrzymania zdrowia i życia: nie mniej jasną jest rzeczą i to, dla czego dowolne głębokie wdychanie i powolne wydychanie dobrego powietrza, jest szczególniej pożytecznem dla osób, prowadzących życie siedzące.

Samo z siebie wynika, że powstrzymywanie czynności przyrządu oddychania, przez noszenie ciasnej odzieży (powijaki u dzieci, wąskie sznurówki, gorsety u kobiet, paski, kamizelki, mundury zbyt mocno opięte u mężczyzn), oraz przez krzywe i pochyłe siedzenie (przy pisaniu i szyciu i t. d.), wywiera szkodliwy wpływ na zdrowie. Należy wzmacniać mięśnie oddychania, zarówno za pomocą odpowiednich ćwiczeń gimnastycznych, jako też częstego, coraz silniejszego i głębokiego wdychania oraz wydychania.

A więc, precz z proszkami siarczanemi, pigułkami Strahla, Morissona i Covina, precz z jabłecznikiem i tym podobnemi kuglarstwami! Do lasu na majowe powietrze! wszyscy cierpiący na zatkanie stolca, hemoroidy i hypochondryją; każdego dnia, w ciągu każdych pięciu lub dziesięciu minut, wdychajcie powoli i wydychajcie mocno po kilka razy. I wy także, nerwowe histeryczne damy, z waszemi łzami i migrenami, częściej przechadzajcie się zwolna, i to bez gorsetu, w pięknym zielonym lesie i oddychajcie dobrze świeżem powietrzem, a nawet głęboko, z całego serca wzdychajcie. Słowem, wszystko, co tylko obdarzone jest zdolnością oddychania, niech dobrze oddycha, jeśli nie chce przedwcześnie wyzionąć ducha.

ŚLADY ŻYCIA.

XLVIII.

Tyle życia ile w czynie.

Niedawne ekonomiczne wstrząśnienia, jak to zwykle bywa, wtrąciły nas w pewien stan niemocy i odrętwienia. Po latach jednak kilku zaczęły się pokazywać oznaki rekonwalescencyi które przedewszystkiem zamanifestowały się w rozbudzeniu życia umysłowego w ogóle, a w rozwoju prasy peryjodycznej w szczególe. Wprawdzie kampanija dziennikarska, prowadzona w początkach z pewnym ferworem, zrobiła pod koniec tak zwane fiasco, bo skończyła się prostą kłótnią i bojaźliwem pojednaniem, pod starą firmą wzajemnej adoracyi, co znowu nie świadczy bardzo korzystnie o naszem zdrowiu; no, ależ panowie dziennikarze nie stanowią przecie całego społeczeństwa. Ich kokosze walki były tylko jednym z objawów powracającego zdrowia, po części impulsem dla innych, jednak nie wszystkim. Rozbudziło się jednocześnie życie ekonomiczne i mamy nadzieję, że lepiej się popisze niż prasa. Zaczynamy się krzątać i nietrudno zauważyć pewne ożywienie na polu zarówno handlowem jak i przemysłowo-rolniczem. Wraca zaufanie we własne siły i nastaje chwila spokojnej pracy. Zdrowy to objaw. Pomimo, że wszystkie działy ekonomicznej pracy są dla nas zarówno drogie, to jednak czujemy pewną wyłączną sympatyją dla spraw naszego rolnictwa. Z radością witaliśmy przed rokiem warszawską wystawę rolniczą i jakkolwiek był to raczej wielki popis, niż wystawa malująca dokładny obraz krajowego rolnictwa i jego potrzeb, to jednak ma ona tę niezaprzeczenie wielką zasługę, że dała zachętę do wielu poważniejszych prac na tem polu. Pomiędzy innemi była ona pobudką do urządzenia wystaw prowincyjonalnych i oto dziś spieszymy zanotować drugą już wystawę na Litwie (pierwsza była w Szawlach). Odbyła się ona w Retowie pow. Rosieńskiem gub. Kowieńskiej w końcu września n. s. i urządzoną została staraniem oddziału „St.-Petersburskiego towarzystwa opieki nad zwierzętami“ a właściwie za współudziałem książąt Ogińskich i innych, pojmujących swe obowiązki jednostek. Okoliczni ziemianie licznie przyjęli udział w wystawie.

Eksponentów było 103, okazów 358. Rozdano wiele nagród, będących dowodem, że wdzięczne (inni mówią niewdzięczne) pole pracy rolniczej nie leży u nas odłogiem, lecz że i na tej niwie pracują ludzie rozumni i wytrwali. Czołem przed nimi. Oby jak najwięcej było takich...

* *

Słusznie więc „Gazeta Rolnicza“ zwraca uwagę ziemian na potrzebę średnich szkół rolniczych. Wyższe szkoły, mówi ona, są i bardzo kosztowne i dają nam tylko naczelnych kierowników, a zapotrzebowanie w tym kierunku z samej natury zajęcia, jest dosyć ograniczonem. Obok jednak takich kierowników potrzeba wielkiej liczby, choć mniej wszechstronnie i gruntownie, niemniej jednak specyjalnie uzdolnionych pracowników. Potrzebie tej mogłyby zaradzić średnie szkoły rolnicze. Przyj-

mowałyby one młodych ludzi po ukończeniu progimnazyjum, naturalnie z kierunkiem realnym. Byłoby to praktycznie i pożytecznie. „Gazeta Rolnicza“ wskazuje naszym ziemianom warszawską szkołę handlową jako przykład, wzór do naśladowania. Czyżby tylko kupcy pojmowali uczciwie swoje potrzeby i obowiązki?..

* * *

Z zakresu rolnictwa notujemy jeszcze jeden trzeźwy i praktyczny głos. P. Bogumił Prawdzicki, wychodząc z zasady podziału pracy, stara się przekonać rolników, żeby dali pokój zakładaniu przeróżnych spółek handlowych, a pozostawili tę rzecz kupcom z powołania. Rada wydaje się nam zdrową i praktyczną. Rolnicy niech się zajmują rolą, kupcy handlem a obie strony na tem wygrają, bo rolnik będzie dobrym rolnikiem, a kupiec dobrym kupcem. Jakkolwiek bowiem rozwój ekonomiczny dąży do więcej bezpośredniego zbliżenia producenta z konsumentem, to jednak z wielu względów rzecz to dopiero przyszłości. Na dziś pan Prawdzicki ma zupełną słuszność. Idzie tylko o usunięcie wyzyskiwania i uorganizowanie jawnego, uczciwego i rozumnego handlu produktami rolniczemi. Jeżeli więc ziemianie winni pomyśleć o szkołach rolniczych, to szkoła handlowa i jej adepci powinni zwrócić uwagę na tę ostatnią i palącą kwestyją.

* * *

Z prawdziwą przyjemnością przejrzeliśmy „Noworocznik kaliski“ na rok 1876, wydany pod kierunkiem panów P. Idzikowskiego i A. J. Parczewskiego.“ Przedewszystkiem zasługuje tu na uwagę „Kronika kaliska,“ zawierająca szczegółowy dosyć wizerunek różnorodnych objawów życia miejscowego w dziedzinie działalności społecznej, ekonomicznej, artystycznej i literackiej, oświaty, przemysłu i rolnictwa. Jest to surowy materyjał, ale bardzo potrzebny. Gdyby tak wszystkie miasta prowincyjonalne zechciały zbierać wiadomości o swoim ruchu ekonomiczno społecznym, utworzyłby się wkrótce bogaty materyjał dla statystyki kraju całego. A rzecz to nader ważna i tak od dawna nadaremnie oczekiwana! Prócz starannie dobranej beletrystyki, sporą część noworocznika zajmują artykuły z dziedziny historyi, literatury, ekonomii, życiorysy i t. d. Szczególniej zasługują na uwagę prace; „Kilka uwag w kwestyi naszego rolnictwa“ przez rolnika i „Wielka, średnia i mała własność ziemska“ przez Gabryjela Kempnera, artykuł napisany ze znajomością rzeczy, ale ciężkim trochę stylem, przepełnionym zbyt wielkiemi okresami. Poczytujemy też za zasługę redakcyi „Noworocznika“ odgrzebywanie wspomnień dziejowych.

FANTAZYJA D[ra] OX

przez

Julijusza Verne.

(ciąg dalszy).

VIII.

W którym stary i uroczysty walc w szalony się wir przemienia.

Gdy widzowie opuściwszy teatr powrócili do zwykłego spokoju w ciche progi domowe, gdy ustąpiło oszołomienie spowodowane chwilą nadzwyczajnego wzruszenia, znużeni i ociężali padli bezwładnie w morfeuszowe objęcia.

Na drugi dzień, każdy przecież musiał przypomnieć sobie o tem co zaszło, bo jednemu brakło kapelusza, drugiej kawała sukni oberwanej wśród tłoku, tej trzewika z cienkiej pruneli, tamtej jasnego okrycia i t. d. Opamiętali się wreszcie stanowczo poczciwe mieszczuchy i uczuli pewien żal z powodu owych niewłaściwych objawów zapału. Zdawało im się jakoby mieli udział w orgii jakiejś i żenowali się niepomału; nie tylko nie mówili więc o tem ale nawet myśleć o tem nie chcieli.

Osobą szczególniej tem zajściem dotkniętą, był ma się rozumieć szanowny burmistrz van Tricasse. Obudziwszy się nazajutrz nie mógł on odnaleść peruki, nie mogła i Lotche nic mu poradzić na to. Peruka widocznie na polu bitwy została. Czyżby ogłosić o stracie, czyżby kazać otrąbić o tem Janowi Mistrol woźnemu miejskiemu? Nie. Lepiej zrobić ofiarę z czupryny jak wystawiać się na pośmiewisko i to komu jeszcze, człowiekowi co ma zaszczyt być pierwszym urzędnikiem w mieście.

Tak sądził van Tricasse, przeciągając się pod kołdrą, z głową ciężką, z językiem białym, z piersią gorejącą. Nie okazywał najmniejszej chęci do wstania, mózg zaś jego pracował w tej chwili jak może nigdy od lat czterdziestu. Pierwszy dostojnik przywodził sobie na pamięć wszystkie szczegóły osobliwszego przedstawienia.... Porównywał fakta, które miały miejsce na wieczorze u doktora Ox, badał powody tej szczególnej drażliwości, która już dwukrotnie objawiła się pomiędzy najznakomitszemi z podwładnych pieczy jego mieszkańców.

— Co to się dzieje? Co to jest? zapytywał sam siebie..... Co u kaduka za szał opanował tę spokojną ludność Quiquendoncu?.... Czyż mamy wszyscy oszaleć a miasto na wielki szpital obłąkanych zamienić? Wszakże wczoraj wszyscyśmy tam byli obecni: radcowie, sędziowie, adwokaci, medycy, akademicy, i wszyscy jeśli mię pamięć nie myli, daliśmy się opanować dzikiemu szaleństwu! Cóż mogło być takiego w tej piekielnej muzyce? Nie, to rzecz nie do zbadania! Wszakże ani nic takiego nie jadłem ani nic takiego nie piłem, coby mogło podobne spowodować wzburzenie! Cóż bo wczoraj jadłem na obiad? kawałek cielęciny dobrze ugotowanej, trochę szpinaku, kilka jajek i przytem dwie szklanki lekkiego piwa. To nie mogło mi nigdy w głowie zawrócić! Nie... tu jest w tem coś takiego czego wytłómaczyć nie mogę, ale że pomimo to wszystko ja odpowiadam za czyny osób pod mój zarząd oddanych, trzeba nakazać śledztwo....

...Śledztwo zarządzone przez radę municypalną do niczego nie doprowadzi. Fakta były jawne i powszechne, rzecz cała ujdzie może baczności. Umysły się uspokoiły, zapomniano zatem o chwilowym wybryku. Dzienniki miejscowe nie wspominają o tem ani słowa, sprawozdanie teatralne pomieszczone w „Pamiętniku Quiquendonc“ także nic nie mówi o tem rozgorączkowaniu całego zgromadzenia...

Aliści lubo miasto powróciło do swego zwykłego spokoju, lubo znowu stało się na pozór tem czem bywało poprzednio, czuć było że charakter i temperament mieszkańców zmieniał się stale chociaż nieznacznie. Miał słuszność doktor Dominik Custos, utrzymując że cierpią oni na rozdrażnienie nerwów.

Wyjaśnimy to bliżej. Zmiana o jakiej mowa niezaprzeczona i niezaprzeczalna, odbywała się w pewnych warunkach. Gdy mieszkańcy Quiquendonc byli na świeżem powietrzu, t. j. na ulicach, na placach publicznych, przy brzegu rzeki Vaar, zawsze byli tak samo zimni i systematyczni jak dawniej. Nawet gdy znajdowali się w mieszkaniach, jedni pracowali, drudzy albo nic nie robili albo przynajmniej nie myśleli o niczem. Życie prywatne było ciche, bezwładne, wegetujące jak kiedyś. Żadna sprzeczka, żadna wymówka przy zajęciach gospodarskich, żadne przyspieszenie bicia serca, żadne natężenie mózgu a średni puls taki jak dawniej 50 do 53 uderzeń.

Faktem jednakże nie dającym się wytłómaczyć, faktem którego zbadać nie mogli najznakomitsi fizyjologowie epoki był pewnik, iż jeżeli mieszkańcy Quiquendonc nie zmieniali się w życiu prywatnem, ulegali zupełnej przemianie w życiu publicznem.

Gdy się znaleźli w budynku publicznym, działo się tam, według słów komisarza Passauf — „jak dalej nie idzie.“ Na giełdzie, w ratuszu, w sali akademii, na posiedzeniach towarzystwa naukowego, przebijał pewien rodzaj zbytniego ożywienia a ożywienie to opanowywało wszystkich. Po godzinie posiedzenia stosunki wzajemne były jeszcze dość suche. Po dwóch godzinach dyskusyja przechodziła w spory, głowy zagrzewały się i zaczynano dotykać osobistości. W kościele nawet podczas kazania wierni nie byli w stanie słuchać z zimną krwią księdza van Stabel, który rzekłszy nawiasem, za bardzo unosił się na ambonie i napominał surowiej jak zwykle. Ten stan rzeczy powodował zajścia daleko groźniejsze niestety, jak doktora Custos z adwokatem Schut, a jeżeli nie powodował wmięszania się w nie władzy, to dla tego jedynie, że strony spór wiodące wróciwszy do domu zapominały uraz wzajemnych.

Jedyną osobą w mieście i to tą właśnie, której posadę od lat trzech zwinąć zamierzano, mianowicie też komisarz cywilny Michał Passauf zauważył, że wzburzenie nie ma nigdy miejsca w domach prywatnych a wybucha gwałtownie w budynkach publicznych; zapytywał więc sam siebie nie bez pewnej niespokojności, co się stanie jeśli ta właściwość przejdzie do mieszkań prywatnych albo nawet jeśli epidemija grasować zacznie po ulicach miasta. Wtedy nie będzie już zapomnienia uraz, spokój zniknie, zajadłość zapanuje, a nieustanne rozdraźnienie poruszy jednych mieszkańców Quiquendonc przeciwko drugim.

— No to co się wtedy stanie?.. zapytywał sam siebie przestraszony komisarz Passauf. Jak powstrzymać te dzikie zapały? Jak pokierować spaczonemi umysłami? Wtedy posada moja nie będzie synekurą i przyjdzie może do tego, że rada miejska podwoi mi płacę.... a przynajmniej... uzna potrzebę zatrzymania mnie... a to zpowodu różnych nadużyć i braku spokoju publicznego.

Otóż te bardzo, słuszne obawy zaczęły

się urzeczywistniać. Z giełdy, kościoła, teatru, z domu zebrań, z akademii, z bazaru złe wkraczało do domów prywatnych i to tylko w ciągu w pietnastu dni po strasznej owej reprezentacyi „Hugonotów.“

W domu bankiera Colaert okazały się pierwsze oznaki epidemii.

Bogaty ten człowiek wydał bal a raczej wieczór tańcujący dla znakomitości miasta. Zaciągnął on kilka miesięcy przedtem pożyczkę 30,000 fr. w $^3/_4$ częściach pokrytą podpisami miejscowemi, dla odwdzięczenia się zatem za to finansowe dla siebie uznanie, otworzył swe salony i wydał bal o jakim wzmiankowaliśmy w tej chwili.

Wiadomo co to są przyjęcia u Flamandów. Skromnie na nich i spokojnie a piwo i miód stanowią najgłówniejszą rubrykę wydatku. Rozmowa toczy się o stanie ogrodów, sposobie utrzymania kwiatów—taniec powolny i miarowy jak menuet, niekiedy walc, lecz jeden z tych niemieckich walców w którym robi się jeden i pół obrotu na minutę, a tańczący trzymają się tak od siebie zdaleka, jak tylko ręce ich na to pozwolą. Takie też zwykle bywały bale towarzystwa w Quinquendonc. Polka na cztery pas, najlepiej się zaaklimatyzowała; ale tancerze nigdy wydążyć nie mogli orkiestrze, jakkolwiek ta grała powoli i nieraz z tego powodu potrzeba było wstrzymywać taniec.

Zebrania te spokojne w których lubowała się młodzież płci obojej, nigdy nie miały złych następstw. Dla czego wszakże na wieczorze u bankiera Coalerta, lekkie wina zmieniły się w mocne, jakby szampańskie lub poncz rozpalający? Dla czego wśród uczty pewien rodzaj upojenia ogarnął wszystkich zaproszonych? Dla czego menuet stał się skocznym tańcem? Dla czego muzycy orkiestry takt przyspieszali? Dla czego, tak jak to miało miejsce w teatrze świece zaczęły błyszczeć blaskiem niezwykłym? Dla czego jakiś prąd elektryczny ogarnął salony bankiera? Skąd poszło, że pary zbliżały się do siebie za nadto, że ręce ściskały się bardziej konwulsyjnie, że goście odznaczali się gwałtownością ruchów podczas tej sielankowej, niegdyś tak poważnej, tak uroczystej, tak majestatycznej i tak bardzo przyzwoitej zabawy?

Niestety! może jakiś Edyp wyjaśni te nie do rozwiązania kwestyje? Komisarz Passauf obecny na wieczorze przewiduje nadciąganie burzy, ale jej opanować nie może, bo sam czuje jakby jakieś oszołomienie mózgu. Wszystkie jego zdolności fizyjologiczne wzrastają. Widziano go jak zapamiętale rzucał się aby pochwycił garść cukrów, widziano jak rzucał się na podawane potrawy, jakby dopiero z długiej wyszedł dyjety.

Ożywienie ogólne powiększa się coraz bardziej. Przeciągły szmer, jakby głuche brzęki dobywają się ze wszystkich piersi. Tańczą, tańczą z zapałem. Nogi latają ze wzrastającą szybkością. Oblicza nabierają kolorów, niby twarze Sylenów. Oczy błyszczą jak węgle, zapał ogólny dochodzi do najwyższego stopnia.

A gdy orkiestra zagrzmiała walca z „Wolnego Strzelca,“ ten walec tyle niemiecki i tak powolny, to nie był walec ale wir iście szalony, kręcenie się w miejscu godne Mefistofelesa, wybijającego takt gorejącą głownią, a następnie galop, piekielny galop przez całą godzinę bez odetchnienia, bez odpoczynku trwający, przeciągający przez sale, pokoje, przedpokoje, schody, piwnice, spiżarnie. Młodzieńcy, dziewice, ojcowie, matki, ludzie wszelkiego wieku, stanu i tuszy, wszystko galopowało; galopował tęgi bankier Colaert, galopowali radni i i wszyscy inni urzędnicy, galopował sędzia prezydujący i p. Niklausse, galopowała pani van Tricasse i jej mąż burmistrz van Tricasse, galopował nareszcie komisarz Passauf, ten sam którego znamy a który nigdy nie mógł sobie przypomnieć z którą damą tańczył tego wieczora. Ale dama nie zapomniała o tem i w snach swoich marzyła o świetnym komisarzu, unoszącym ją w uściskach pełnych zapału. Damą tą była miła ciotka Tatanemancyja.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Ostatnie chwile Księcia Wojewody (Panie kochanku) z papierów po Glince spisał J. I. Kraszewski. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1875 r. 12-ka, stronic 195. Cena kop. 90.

Znakomity autor przedstawia nam charakterystyczny epizod z życia jednej z najpopularniejszych postaci historycznych, w dosadnych i barwnych nader rysach.

Widzimy tu tedy przed sobą mistrzowsko i wiernie skreśloną postać Radziwiłła panie kochanku, najprzód w burzliwych latach jego młodości, a następnie w dniach pokuty, chylącego się w objęcia śmierci. Możnemu panu, który trząsł prawie krajem całym, otoczonemu zastępem wiernej szlachty, wiele wolno było, to też zbytecznie korzystał z tej wolności książę Radziwiłł. Niczego nie uszanował: ani praw cudzych, ani spokoju rodzinnego, ani cnoty niewieściej. W sąsiedztwie np. Nieświeża, głównej siedziby i księcia wojewody, mieszkał ubogi szlachcic Wojzbun; szlachetny, dumny starzec, wraz z córką, której wdzięki stały się głośne w okolicy całej. Wieść o urodzie Felicyji doszła do uszu rozpustnego magnata przy wesołej hulatyce. Jeden z obecnych napomknął, że piękna dziewoja pokochała szczęśliwego młodziana, i że dla tego wszelkie pokusy o nią byłyby już daremne, że „ten książęcy kąsek szlachcicowi się dostanie.“ Podburzyło to namiętność Radziwiłła, postanowił więc w jakibądź sposób zapoznać się z Felicyją, co mu się wreszcie po długich staraniach udało, ale gdy się chciał posunąć po za granicę prostej przyzwoitej znajomości, spotkał się z zimnym, szyderczym chłodem i wzgardą. Zniewaga doznana od starego szlachcica dopełniła miary. Radziwiłł otóż napadł zbrojnie na spokojną siedzibę Wojzbuna, i zabrał przemocą Felicyją. Niedługo jednak cieszył się z posiadania łupu. Pomimo bowiem pilnej straży Felicyja zdołała uciec i wraz z ojcem, cudem prawie wybawionym od śmierci, a obecnie zwolna wracającym do zdrowia, schroniła się u krewnych swoich. Nie chcąc przekazać hańby swej dzieciom, Felicyja postanowiła zamknąć przed sobą na zawsze urok życia i odtrąciła kochanka, który jej wiernym pozostał. Przekleństwo starca Wojzbuna, który go na sąd Boży zapozwał, zaciążyło na sumieniu magnata i postanowił poprawę, a gdy chcącego hojnym datkiem nagrodzić krzywdę, odepchnięto ze wzgardą i oburzeniem, upokorzył się do tego stopnia, iż osobiście błagał o przebaczenie i o rękę pokrzywdzonej dziewicy. Ale nie przyjęto i tej ofiary. Dręczony Radziwiłł pragnął w jakibądź sposób przebłagać Felicyją, ale po śmierci ojca zniknęła gdzieś ona bez wieści. Szukano jej długo nadaremnie, aż dopiero po długich latach pokuty na łożu śmierci na zbolałą głowę starca, złożyła przebaczenie, czuwając nad nim jako siostra miłosierdzia.

Pomijając świetną charakterystykę epoki dziejowej i język, jakby żywcem z ust ówczesnych ludzi wyjęty, musimy tu jeszcze zauważyć kilka nader dosadnych rysów, jakimi autor kreśli tytułową postać swej powieści. Dzielny to a prawdziwy typ dawnego magnata! W pamięci księcia wojewody żyją wielkie postaci przodków, a wraz z nią świetność dziejowa: płacze nad upadkiem swojego rodu, nad ruiną i skarłowaceniem nowego pokolenia. Duma magnata nigdy w nim nie usypia. Upokarzając się przed Wojzbunem: „ja Radziwiłł, woła doń panie kochanku, uniżam się przed waćpanem, żądając abyś mnie przyjął za zięcia.“ Stojąc nad grobem w gorączkowem majaczeniu powiada:... „A tak, mości książę, grzeszyło się, ale żeby znowu z lada chamami w czyśćcu siedzieć, to Radziwiłłowi nie przystało, chyba w osobnej komórce.“

Obok tej głównej osobistości obraca się kilka innych, również ma się rozumieć po mistrzowsku skreślonych. Dzielnym jest stary Wojzbun, a córka jego jest jedną z owych postaci kobiecych, które powołane do życia potężną twórczością autora, nęcą tak cudnym urokiem, iż się trudno z niemi rozstać rozmarzonej duszy. Postać młodego Dulemby, kochanka Felicyi, może mniej jasno skreślona, a przytem szkoda może, iż w stworzeniu o krwi tak rybiej kazał się szanowny autor zakochać takiej jak Felicyja kobiecie. Kiedy bo oto posłowie księcia nie mogli hojnym datkiem uspokoić pokrzywdzonego szlachcica i córki jego, udali się do Dulemby, a ten: „poczciwy chłopiec spił się z nimi i spłakał...“ Żal mu było i panny i piętnastu tysięcy ofiarowanych przez księcia i nieprzyjętych przez Wojzbuna.

A. P.

Mikołaj Kopernik. Dramat w 5-ciu aktach na tle dziejów osnuty. Napisał Wincenty Rapacki, artysta dramatyczny. Warszawa. Nakładem i drukiem Józefa Ungra. 1876. str. 151.

O ile pierwszy utwór p. Rapackiego (*Wit Stwosz*) narobił hałasu w świecie literackim jeszcze przed swojem ukazaniem się w druku; o tyle drugi, którego tytuł powyżej przywiedliśmy cicho wszedł na arenę piśmiennictwa. Ciszy tej nie myślimy w tej chwili przerywać, gdyż „Mikołaj Kopernik“ ma być niedługo na scenie warszawskiej przedstawiony. Zachowując więc obszerniejszą wzmiankę do czasu reprezentacyi scenicznej, tymczasem zawiadamiamy czytelników, że jak „Wita Stwosza“ tak i „Kopernika“ napisał p. Rapacki wierszem białym czyli miarowym jedenastozgłoskowym.

Wiersz ten idzie dosyć gładko; ale nie posiada harmonii z tego głównie powodu, że *jamby* jednego wiersza, a mianowicie na początku zastępowane bywają *trochejami* albo *daktylami*. NB. przykład jambu mamy w tych dwóch wyrazach: *tyś wzór*; przykład trocheja w wyrazie: *mówmy*; daktyla w wyrazach: „*wszystko mu*“ i t. p. *P. Ch.*

Przyjaciel. Kalendarz na rok przestępny 1876. Ułożył Antoni Porębski, redaktor „Tygodnia.“ Piotrków, 20 stron nieliczbowanych i 165, z obrazkiem Matki Boskiej Kodeńskiej.

Z pomiędzy wielkiej liczby kalendarzów wart powyższy wyszczególnienia. Ułożono go w sposób umiejętnie zastosowany do potrzeb klasy mniej oświeconej na wsi i w mieście. Takie kalendarze prowincyjonalne mogłyby mieć bardzo wielki wpływ na społeczeństwo. Oddajemy hołd staranności p. Porębskiego. Czytelnicy znajdą w jego „Przyjacielu“ wszystkie zalety serdecznego doradcy. W części astronomicznej i kościelnej napotykamy tu objaśnienie obrazka Najświętszej Maryi Panny Kodeńskiej życiorys błogosławionej Jadwigi, objaśnienie dziewięciokrotnego dzwonienia na Anioł Pański, rzecz o Staszycu; Sławińskim i t. d. Z pomiędzy innych artykułów na baczną uwagę zasługuje zatytułowany: „Sprawy wewnętrzne gminy.“ Wiersze znanych poetów nie tracą na tem, że w „Przyjacielu“ zostały przedrukowane. Opowiadania są wcale niezłe i mile mogą długie chwile wieczorne uprzyjemnić! Artykuły ekonomiczne o cechach i stowarzyszeniach rzemieślniczych, o naszej gospodarce, a dalej gospodarskie o dobie, chmielu, hodowli królików, ptasich gniazdach; doświadczone wreszcie rady i środki gospodarcze, rękodzielnicze i domowe, każdego gospodarza mianowicie wiejskiego silnie zainteresować mogą. Nie wątpimy, że na rok przyszły jeszcze większa rozmaitość i dobór artykułów zalecą „Przyjaciela“ któremu z całego serca sprzyjamy.

ROZMAITOŚCI.

Z pozostałych notat po Janie Glinojeckim przekonywamy się, iż ów kompetentny eksploatator torfu w kraju naszym, w krótkim czasie zbadał torfowiska w 152 miejscowościach na przestrzeni 22,193 morgów, gdzie znalazł 66,835,691 sąż. sześciennych tego materyjału. Z szczegółowych rachunków pokazuje się, iż zasób ten w gubernijach królestwa Polskiego takie przedstawia dane:

W gubernijach	w miejscowościach	mórg	zawiera sążni kubicz.
warszawskiej	52	4,473	14,294,214
petrokowskiej	16	2,199	5,380,713
kaliskiej	2	50	106,230
radomskiej	3	630	2,053,110
kieleckiej	3	510	2,517,750
płockiej	18	2,258	6,368,435
lubelskiej	44	11,303	34,347,285
siedleckiej	5	395	807,705
łomżyńskiej	9	375	960,249
Razem jak wyżej	152	22,193	66,835,691

Nadmienić należy, iż do tej rachuby nie wchodzą prowadzone w niektórych miejscowościach na własne potrzeby, jak między innemi w Ozórkowie gdzie od lat wielu i ludność tameczna i parowa przędzalnia Henryka Szloessera o sile zbiorowej dziewięćdziesięciu koni przeważnie posługują się torfem miejscowym. Oprócz zatem niezbadanych i nieznanych torfowisk, posiadamy dziś już tak znaczną ilość tego materyjału opałowego, że na długie lata miejscowe potrzeby zaspokoić jest on w możności. Mimo jednakże coraz większej drożyzny materyjałów opałowych, torf nadzwyczajnie leniwo wchodzi w użycie. W ostatniej dopiero ewentualności używamy torfu.

Jeszcze ksiądz Kluk zauważył (Rzeczy kopalne, tom I str. 227—233, edyc. z roku 1781 w Warsz.) wyborne własności węgli torfowych, przygotowanych w ten sam sposób w jaki się przygotowują węgle drzewne, z tem jednak ostrzeżeniem, aby dół od wiatru osłonić, iżby węgle nie były lekkie i słabe. Wykurzone właściwie dają silne ciepło i są wyśmienite nie tylko dla kowali, ślusarzy i innych rzemiosł ale nawet do topienia kruszców użytemi być mogą. W wielu miejscowościach Niemiec przerabianie torfu na węgiel rozległe ma zastosowanie, bo jakkolwiek objętość jego z powodu kurczenia się od ciepła zmniejsza się o czwartą część, ale siła żaru węgla torfowego jest jak 63 : 15 w stosunku żaru zwyczajnego torfu.

Budująca się kolej Nadwiślańska powinnaby pomyśleć o zużytkowaniu bogatych torfowisk znajdujących się w tamtych okolicach, tym więcej, że jak donoszą gazety rossyjskie a mianowicie „Nowoje Wremia,“ próby wykonane na drodze żelaznej Kursko-Kijowskiej przekonały, że już torf zwyczajny z korzyścią na ten cel może być użytym, cóż więc mówić o węglu torfowym.

— W gazetach niemieckich podnoszą znowu myśl anneksyi Bośnii i Hercogowiny do Austryi. W kołach militarnych austryjackich dużo o tem mówią a nawet kłopoczą się już i o to gdzie te dwa kraje wcielić, czy do Zalitawii czy do Przedlitawii. Niektórzy proponują, żeby z nich utworzyć osobny kraj koronny na wzór Alzacyi-Lotaryngii w Niemczech. Jest to jednak łowienie ryb przez niewodem i wszelkie tego rodzaju przypuszczenia są więcej śmieszne niż prawdopodobne.

— Według najnowszych doniesień, Porta ma zamiar dokładniej uwiadomić Europę o swoich reformach, jakie w prowincyjach chrześcijańskich przeprowadzić obiecuje. Do *Wiener Tagbl.* telegrafują z Konstantynopola, że jak tylko Raszyd-pasza tam przybędzie, wnet przesłaną zostanie do wielkich mocarstw nota okólnikowa, w której Turcyja rozwinie i wyjaśni tak swój plan reform, jak rękojmie do ich przeprowadzenia podjęte.

— Obecnie w europejskiej Turcyi znajduje się około 2,000,000 muzułmanów a przeszło 12,000,000 chrześcijan. Większość ta cierpi najstraszniejsze prześladowanie. Ani majątek ani życie chrześcijanina nie jest bezpiecznem w Turcyi. Chrześcijański rajas nie jest niczem innem jak tylko niewolnikiem, którego praca i życie zależne są od muzułmańskiego prześladowcy, nie szczędzącego ani żony ani córki swej ofiary. Podatek z dziesięciny powiększył się na szóstą, trzecią a nawet w połowę z obrobionej ziemi, prócz zysków jakie ściągają feudalni bejowie. Oni to zabierają trzecią część zebranej pszenicy, jęczmienia, owsa, a oprócz tego każdy rajas wysiać musi trzy funty pszenicy dla ich użytku. Jeżeli bej podróżuje, a zatrzymuje się u nieszczęśliwego rajasa, gospodaruje w jego domu jak u siebie, wszystkiem rozporządza, a nawet żoną i dziećmi, jeżeli mu się spodobają; za zabicie chrześcijanina turek nie odpowiada, a świadczyć przeciwko turkowi w sądach niedozwolonem jest rajasowi.

— Rozmaite gazety paryskie ogłaszają treść listu przesłanego królowi Alfonsowi przez Don Karlosa. W liście tym Don Karlos proponuje królowi zawieszenie broni w razie wojny z Ameryką i radzi mu, żeby wspólnie połączyli swoje siły dla obrony ojczyzny. W końcu tego co najmniej naiwnego listu Don Karlos oświadcza, że zastrzega sobie wszelkie pretensyje swoje do tronu. Jeżeli ta treść jest prawdziwą to nic dziwnego, że jak donoszą z Madrytu, Alfons XII nie chce nic odpowiedzieć na list swojego kuzyna. Król podobno nawet zawiadomił jenerała Quesadę, żeby tenże od Don Karlosa żadnych nie przyjmował listów prócz jedynie „deklaracyi stanowczego poddania się pretendenta,“ które dawno powinno było nastąpić.

— Trzy sekcyje głównego sztabu pruskiego mają za o ogwiązek specyjalne studyjum armij zagranicznych; trzymają one dokładne i ścisłe rachunki o ich uzbrojeniu, o ich rzeczywistym stanie; wiedzą one dokładnie jaki czas jest potrzebny do ich mobilizacyi i skoncentrowania na każdym punkcie terytoryjum albo na granicy; zapisują skapliwie armaty obcych armij, jeden kartacz niewejdzie do arsenałów obcych państw, aby w tej samej chwili nie był wniesiony do regestrów tych biur adresowych. Jestto kontrolla każdogodzinna. „Moglibyśmy panu podać, mówił oficer oprowadzający po tej świątyni wojny, co do jednego prawie liczbę żołnierzy Francyi, w tej chwili pod bronią się znajdujących. Wiemy ile jest mieszkańców w każdej wiosce Hiszpanii, Szwajcaryi i Belgii, i jak wielkie kontrybucyje w pieniądzach i żywności z nich wyciągnąć można.“

— Budowa akademii technicznej we Lwowie postąpiła bardzo znacznie w r. b. Budynek przeznaczony na laboratoryjum został prawie całkiem ukończony, a gmach główny, dwupiętrowy, stoi już pod dachem z wyjątkiem głównej fasady od ulicy Nowego Świata. Z powodu ustawicznej słoty i ciągłej zmiany powietrza, musiano w tym roku zaprzestać już dalszych robót około tego gmachu. Towarzystwo budownicze, które wykonywa tę robotę, urządziło w sobotę d. 13 b. m. ucztę na którą zaprosiło członków komitetu budowy z c. k. namiestnictwa, professorów c. k. akademii technicznej, z członków towarzystwa kierujących budową, ogółem 36 osób. Uczta odbyła się po godz. piątej wieczorem w udekorowanej sali budynku przeznaczonego na laboratoryjum. W suterenach tego samego budynku ugościło towarzystwo budownicze przeszło 200 mularzy, 80 pomocników mularskich, 60 cieśli i t. d. którzy w ciągu b. r. pracowali około tej budowli. W ciągu uczty wnoszono wśród huku wystrzałów moździerzowych liczne toasty. Niewykończona fasada gmachu głównego przystrojoną była w zieleń i różne transparenta, wieczorem rzęsiście oświetlone, które w r. z. przy podobnej okazyi były umieszczone na głównej fasadzie laboratoryjum od placu św. Jerzego.

— Dnia 10 b. m. odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego akademii umiejętności w Krakowie pod przewodnictwem dyrektora dr. Józefata Zielonackiego. Sekretarz p. Szujski złożył referat komissyi historycznej o rozprawie p. Anatola Lewickiego „Mieczysław II,“ poczem odczytał ustępy tej pracy stanowiącej rzeczywisty naukowy przyczynek do dziejów tej epoki. Oddano rozprawę komitetowi redakcyjnemu.

— Na posiedzeniu towarzystwa antropologicznego w Gdańsku, między różnemi zabytkami starożytnemi, znalezionemi w pow. Toruńskim, Chełmińskim i innych prowincyjach Prus Zachodnich, o których czytano sprawozdania i rozprawiano, zajmowano się bardzo wykopaliskiem w Lehsen (nazwisko miejscowości polskiej zniemczone), gdzie robotnicy znaleźli skrzynię kamienną, w której znajdowały się trzy urny; z których dwie miały kształt głów. Twarze były jeszcze bardzo wyraźne, z kolczykami bronzowemi w uszach i naszyjnikami z kolorowego szkła i bursztynu; uszy i nos odznaczały się nader wydatnemi kształtami lecz oczy tylko przez powierzchownie nakreślone koła przedstawione były.

OD REDAKCYI.

W roku przyszłym 1876 „Opiekun Domowy“ wychodzić będzie nadal pod dotychczasową redakcyją, w tym samym co obecnie formacie i kierunku.

Spółka wydawnicza jakąśmy zawarli z panem Julijanem Korzeniewskim właścicielem drukarni, pozwoli nam wypełniać odtąd dokładnie wszystkie działy rozległego programu „Opiekuna,“ co nietylko ożywi pismo i poczytniejszym je uczyni, ale zarazem nada mu trwałą i rzeczywistą wartość.

„Opiekun“ będzie **pismem illustrowanem**, i od Nowego Roku począwszy każdy jego numer, obejmować będzie po **trzy przynajmniej drzeworyty**, które o ile dziś już z usilnych, przedsiewziętych w kierunku tym starań, przypuszczać sobie pozwalamy, potrafią w zupełności zadowolić wysoko wykształcony smak artystyczny publiczności naszej.

Od nowego też przyszłego roku, zamieszczać będziemy w „Opiekunie“ stale i peryjodycznie **Mody damskie, męskie i dziecinne**, pod tym jednakże względem nie będziemy konkurować z żadnem innem pismem modnem. Nie o bogactwo bowiem ubiorów, nie o dogodzenie kapryśnym a zbyt często dziwacznym wymogom mody chodzić nam będzie, ale o to aby podawać wzory ubrań odpowiednich, gustownych a tanich; sądzimy bowiem, że czytelniczki polskie ku wygodzie których dział ten wprowadzamy, łącznie z nami pojmują niewłaściwość rujnowania się na przesadne stroje, gdy tyle nędzy do koła, gdy leży odłogiem tyle pilnych potrzeb społecznych.

W prospekcie jaki w tych dniach opuści prasy drukarskie rozwiniemy więcej szczegółowo zakres przyszłej działalności naszej — obecnie zaś nadmieniamy, że ufni w obywatelskie poparcie usiłowań naszych, dotychczasową cenę pisma pozostawiamy bez zmiany, mianowicie:

Przedpłata na **„OPIEKUNA DOMOWEGO“** wynosić będzie:

w Warszawie łącznie z odnoszeniem do domu.	Na prowincyi i w Cesarstwie łącznie z przesyłką pocztową i opakowaniem.	Za granicą: W Austryi za pośrednictwem księgarni G. Gebethnera i Spółki w Krakowie.
Rocznie . . . . rs. 6 kop. —	Rocznie . . . . rs. 8	w Krakowie rocz. z stem. dzien. Złr. 10 c. —
półrocznie . . . . „ 3 „ —	półrocznie . . . . „ 4	w Galicyi „ „ „ „ 11 „ 50
kwartalnie . . . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . „ 2	w Prusach . . . . 24 marek.
miesięcznie . . . . „ — „ 50		

Prenumerować można w Warszawie we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryjodycznych.

Prenumeratę z Królestwa i Cesarstwa, upraszamy nadsyłać wprost pod adresem:

J. Korzeniewski Wydawca „Opiekuna Domowego,“ ulica Št. Jerska, Nr. 12 w Warszawie.

Skład główny i ekspedycyja pisma odbywać się też będzie wprost z Kantoru drukarni Wydawcy ulica Št.-Jerska, Nr. 12 nowy.

Spółka wydawnicza o jakiej wspominaliśmy powyżej, pozwoli nam też zająć się urzeczywistnieniem ulubionej myśli naszej—ukończeniem mianowicie wydawnictwa p. t.: **„Wychowanie Domowe“** które dla zbyt małego poparcia zawiesić byliśmy zmuszeni, na pierwszych ośmiu tomach. Wydawnictwo to obejmie w ogóle **25 tomów dzieł oryginalnych, mających na celu początkowe wychowanie i wykształcenie** a zbyt jest ważnem dziś dla nas, iżbyśmy ośmielili się przypuszczać że wśród rodzin naszych nie znajdzie i na teraz jak najszerszego przyjęcia, iżbyśmy przypuszczać śmieli że wśród rodzin tych wygasła już chęć popierania tego co dąży do zwiększenia ogólnego dobra, do podniesienia ogólnej oświaty, a przedewszystkiem do wytworzenia w domowych progach, blaskiem zdrowej i pożytecznej nauki ogrzanych przybytków, z którychby na pożytek kraju wychodzili dzielni i szlachetni obywatele. O wydawnictwie tem zawiadomimy również szczegółowo w prospekcie.

Cena całego wydawnictwa p. t.: **„WYCHOWANIE DOMOWE“** wynosi:

w Warszawie . . . . . . rs. 6 | **Na prowincyi i w Cesarstwie** . . . . rs. 7 kp. 50

OD WYDAWCY.

Pragnąc z jednej strony wywdzięczyć się Szanownym Czytelnikom **„Opiekuna Domowego“** za łaskawe popieranie naszego wydawnictwa, z drugiej zaś strony chcąc sobie względy ich zaskarbić na przyszłość, postanowiliśmy udzielać prenumeratorom **odpowiednie premija.** O szczegółach co do premij takowych na rok przyszły, 1876, zawiadomimy Szanownych prenumeratorów w właściwym czasie, dziś mamy honor powiadomić tylko że **jako premijum dla wszystkich obecnych PP. prenumeratorów naszych** przeznaczyliśmy przełożone na język polski dzieło **Pawła Leroy — Beaulieu,** uwieńczone przez francuską akademiję nauk moralnych i politycznych p. t.:

PRACA KOBIET w XIX wieku.

Dzieło to obejmujące 318 stronic ścisłego druku dołączymy do numeru pisma w połowie miesiąca Grudnia r. b.

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Ноября (2 Декабря) 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.